

# XYZ

W numerze m.in.:

- o Maroku,
- Bośni
- i Hercegowinie,
- Marakeszu i Gilgameszu,
- a także
- o uczcie dla melomana
- i...
- o kabaretowej miotle





## w numerze:

### REPORTAŻE

Świat w Rabacie ■ Katarzyna Tabaka 3

Wcisnęli karabin w ręce i kazali strzelać ■ Magdalena Kośla 6

### ROZMOWY

O Marakeszu i Gilgameszu ■ Magdalena Fiba 9

– Bo ja unikam starości ■ Magdalena Łukasik 11

– Chciałabym, żeby więcej studentów chciało do nas pisać  
■ Ewelina Madej 13

Na miotle do kabaretu... ■ Aneta Tabiszewska 15

### RECENZJE

Kosmiczna przygoda All-New X-Men i Strażników Galaktyki  
■ Marcin Chudoba 18

Najpierw kolory, potem ludzie ■ Magdalena Fiba 19

Odarta z mitów pamięć o walkach w getcie warszawskim  
■ Ewelina Madej 21

Książka, której nie napisał autor... ■ Magdalena Fiba 23

Mądrość saksofonisty ■ Magdalena Łukasik 26

Nakarmić siebie ■ Katarzyna Tabaka 28

I ja jestem stamtąd ■ Katarzyna Tabaka 30

Przewidywalna klasyka gatunku ■ Magdalena Łukasik 32

Komedia przeplatana ludzkim dramatem ■ Ewelina Madej 34

Uczta dla melomana w podkoszulku i trampkach ■ Magdalena Kośla 36

Męczyzna wcale nie z kijowym peselem ■ Aneta Tabiszewska 37

### FELIETONY

Kolejki? Nie, dziękuję... ■ Katarzyna Tabaka 38

Jak zostać kabaretową gwiazdą ■ Aneta Tabiszewska 40

Sesja, nie ma na to rady... ■ Marcin Chudoba 41

Wiosna wio! ■ Magdalena Fiba 42

### WSTĘP

Trzymając Państwo w rękach magazyn słuchaczy kursu dziennikarskiego nr 10 „XYZ” (nr 2, 2017 r.) przygotowany pod moim kierunkiem przy współpracy kolegów prowadzących warsztaty redakcyjne z reportażu, wywiadu, recenzji i felietonu.

Ciekawie napisane i zredagowane teksty, interesująca szata graficzna i ilustracyjna, profesjonalna redakcja językowa i korekta, znakomity cyfrowy druk. Czego chcieć więcej?

Proszę ocenić (po lekturze), który z autorów mógłby prawie natychmiast rozpocząć pracę w prawdziwej redakcji dziennika czy tygodnika i po jakimś czasie stać się jej wyraźnym wzmocnieniem...

Od 36 lat Studium Dziennikarskie – najpierw Wyższej Szkoły Pedagogicznej, później Akademii Pedagogicznej i wreszcie Uniwersytetu Pedagogicznego im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie – proponuje wszystkim zainteresowanym dwusemestralne warsztaty i laboratoria wraz z teorią ograniczoną do sensowych rozmiarów, a na dokładkę jednosemestralny staż w gazecie, radiu, telewizji bądź portalu.

Każdy, jeśli tylko chce, może z tej oferty skorzystać. I większość korzysta, jest z tego zadowolona. Dziękujemy.

MACIEJ MALINOWSKI  
redaktor naczelny magazynu „XYZ”  
kierownik Studium Dziennikarskiego  
Uniwersytetu Pedagogicznego  
im. Komisji Edukacji Narodowej  
w Krakowie

PS Wszystkie teksty słuchaczy kursu nr 10 znajdują się na stronie [studium@wp.pl](mailto:studium@wp.pl).

**Redaktor naczelny:** dr MACIEJ MALINOWSKI

**Zespół:** Marcin Chudoba, Magdalena Fiba, Magdalena Kośla, Magdalena Łukasik, Ewelina Madej, Katarzyna Tabaka, Aneta Tabiszewska.

**Kierownictwo działów:** **reportaże:** Leszek Rafalski; **rozmowy:** Wacław Krupiński; **recenzje:** dr Sławomir J. Tabkowski; **felietony:** dr Edward Chudziński.

**Redakcja językowa, adiacja i korekta tekstów:** dr Maciej Malinowski.

**Opracowanie graficzne (projekt graficzny, dtp):** Joanna Sroka (e-mail: [joannasroka1@wp.pl](mailto:joannasroka1@wp.pl)).

**Fotografie:** zbiory autorów i archiwum. **Zdjęcie na okładce:** Katarzyna Tabaka.

**Druk:** Grafika – Druk – Reklama Krzysztof Jarosz, 32-060 Cholezryn k. Krakowa 280. Nakład 20 egz.



## Świat

Muszą przecież uciec od swoich kobiet!

## W RABACIE

**RABAT** – stolica Maroka. W Rabacie jest wszystko – np. targowisko – głośnie, tłoczne, drażniące cierpkim zapachem palonych orzechów arganowych. W Rabacie jest też dzielnica odległa o całe wieki – wybudowana przez Francuzów *Ville Nouvelle* – a w niej „zachodnie” sklepy i dziewczyny udekorowane, bo nie zasłonięte, chustą. Jest i lokal z mrożonym jogurtem, którego wewnątrz pachnie tak samo jak nowojorskich cukierni.

W rabackim starym mieście – medinie – czas zatrzymał się jednak w miejscu. Poranne śpiewy muezinów wibrują poprzez ciszę jasną jak poranki, które witają. Czuję się jak podróżnik z przyszłości, gdy wczesnym rankiem przechodzimy wąskimi uliczkami, tuż obok otwierających się okienic sklepów. Sklepy wyrastają tu ze ścian uliczek, a za ich oknami kryją się miniaturowe fabryki, przędzalnie, krawcy, by o krok dalej można było kupić gotowy kaftan.

## Być kobietą...

W Maroku jestem z chłopakiem, Johnem, wątlým Anglikiem, i Mohamedem, którego znamy z Oksfordu jako Jacka. Jack upiera się, bym nie zakładała na głowę chusty, choć ja chcę się jak najbardziej wtopić w tłum i tutejsze zwyczaje.

– *Kiedyś tak nie było!* – złości się. – *Trzeba im pokazać, że nie mają na nas wpływu! Nie damy się tej paranoi! Nie tylko oni żyją w tym kraju! Nie można się tej presji dać!*

Kobiety w telewizji mają odsłonięte włosy i noszą koszule. Te na ulicach – dżelaby, hidżaby i chusty. Małe dziewczynki wyglądają jak każde inne na świecie. Ubrane w kolorowe podkoszulki z nadrukami Disneya, getry i spódniczki, uśmiechają się szeroko. Sprzedają na ulicach bransoletki z paciorków, chichocząc i wołając za mną „pani!”.

Myszę sobie, że to może właśnie owe małe dziewczynki ze szkolnych lat pamięta Jack, a nie inny, mniej muzulmański świat. Spod dżelaby kobiety stojącej obok mnie wylania się owłosiona noga, skarpeta i but typu crocs. Ja tymczasem ogoloną nogą i gołą głową pokazuję, że nie można się tej presji dać.



3

## Mięso i cukier

W Maroku je się przestodkie słodkości; Jack mówi, że to dla energii w upały. Na upały popija się też gorącą i przesłodzoną miętową herbatę. Wprawny kelner o zepsutych zębach nalewa ją ze srebrnego imbryka do małych szklaneczek z ponad metra wysokości, lawirując imbrykiem.

W drodze na północ, ku Meknes, zębami próbuję wydość wewnątrz orzechów arganowych z upartych łusek. Trudno mi jednak przełknąć ich gorycz.

- Głodni, zatrzymujemy się w przydrożnej jadłodajni. W otwartych halach na hakach wiszą bezgłowe mięsne tusze. Świeżo pieczone mięso z dodatkami jest jedynym daniem tu oferowanym. Trudno tu ugościć wegetarianina, choć zgłaszam pełną winę gotowości nasycenia się warzywnymi dodatkami i chlebem. Moi towarzysze decydują jednak, że udamy się do restauracji, gdzie czekają na nas bez zapachu przyrządzone lokalne symbole globalizmu: pizze, hamburgery i sałatki.

## W chmurach

Kolejny przystanek stanowi Volubilis – ślad po tym, jak daleko niegdyś zawędrowało imperium rzymskie. Niebo nad Volubilis jest takie, że prawie widać Boga. Spośród ciemnych chmur wyłaniają się dalekosiężne promienie i tylko czekać, aż rozbrzmi Jego głos. Tu z Bogiem można negocjować jak na targu – złościć się i wygrażać jak kiedyś Hiob. Taki Bóg narodzić się mógł wyłącznie na Bliskim Wschodzie.

Z Volubilis jedziemy nocą do Fez górską trasą bez asfaltu, którą wskazał nam GPS. I wkrótce spełnia się niewypowiedziana przepowiednia – łapiemy gumę. Chcę pomóc, ale Jack boi się o mnie i każe mi siedzieć w zamkniętym aucie.

– *Tu, w górach – mówi – mają swoją własną politykę. Żyją po swojemu. Nie dociera tu ręka prawa. Zdarzają się morderstwa przejezdnych.*

Nie wierzę w to, ale siedzę w aucie, świecąc komórką przez okno w zablokowanych drzwiach. Później jego mama mówi mu, że powinien być mi zamiast tego powiedzieć, iż w górach grasują wilki. W wilki jednak nie uwierzyłabym tym bardziej.

– *Góry górą nierówne. W górach Atlas żyją Berberowie, „prawdziwi” Marokańczycy, którzy oparli się zewnętrznym wpływom. Przeważający dziś Arabowie to ludność napływowa – opowiada Jack.*

On szczeni się berberskimi korzeniami. Ale dziś Berberów jest mało, żyją gdzieś na uboczu, w wysokich górach, tym wyższych, im bardziej rozszerzają się wpływy arabskie.

– *Są Berberowie z jasnymi włosami i oczami jak Ty. Nie odróżniałabyś się wcale – dodaje Jack.*

## Pocztówka z Fez

Do Fez dojeżdżamy późno, choć bezpiecznie, i zatrzymujemy się w hotelu sieci IBIS. Następnego dnia zaczynamy od poszukiwań zakładu wulkanicznego. Jack złości się, że przez to, iż ma turystów w aucie, policzono mu podwójnie.

Po południu zwiedzamy garbarnię, na pocztówkach zawsze kolorową. Teraz znajduje się w remoncie. W ka-



miennych dziurach widać tylko brunatne płyny, a nie wesołe barwniki. Ślizgamy się po gołębich kupach – to, obok krowiego moczu, składnik używanych tu od wieków mikstur. Popołudniem wokół garbarni szwendają się koty i ludzie. Dużo jednych i drugich. Ci drudzy siedzą na pagórkach otaczających garbarnię, jakby czas nie istniał.

## Z kobietą wśród...

Jedziemy do Tangier ciemną nocą i pustą drogą. Ściskam pęcherz już od godziny. Zatrzymuje nas policja, sprawdza paszporty. Jack opowiada właśnie, że za przewodniczenie





nam mógłby dostać mandat, takie rzeczy trzeba zgłaszać i dostać pozwolenie. Już nie wiem, czego się bać, ale Tangier wciąż się nie zbliża, więc zgłaszam potrzebę.

Zatrzymujemy się w kolejnej małej miejscinie. Na ulicach sami mężczyźni, w lokalnym barze też tylko oni. Siedzą, i – jak mi się zdaje – patrzą złowrogo na intruza, którym się czuję. Toaleta dla kobiet jednak jest. Oznaczona. Pośrodku podłogowego „brodzika” do sikania w kucki stoi klozet. Zbędna jest mu wszelka instalacja; to klozet, zdaje się, siusia wprost w odpływ brodzika.

Do Tangier dojeżdżamy tej samej nocy, ponownie zatrzymując się w hotelu IBIS. Każdy wygląda tak samo. Wracamy więc do pokoju sprzed wczoraj, za oknem tylko zmienia się kanał. Jest późno, wszystko pozamykane. To ponoć idealny moment, by napić się tak rzadkiego tu alkoholu w klubie należącym do sąsiedniego hotelu.

Smutny to klub, i niepotrzebny nam w tej podróży. Oprócz drogiego piwa stoi tu kilka drogich pań. Wyglądają zwyczajnie i niezwyczajnie: tak samo, jak u nas dziewczyny w klubach. W klubie jednak pusto. I my, nie kończąc nawet tych drogich piw, wkrótce dokładamy się do tej pustki.

## Ja pasuję

Tangier to miasto pofrancuskie. Po francuskich mieszkańcach pozostały niewielkie jednak ślady – styl kolonialny łuszczy się z fasad budynków, niegdysiejszy ład rozsadzają chwasty, wszędzie rozrasta się to, co tutejsze. Moi towarzysze podróży mówią, że tu pasuję. W długiej sukni narzuconej na nią koszuli i słomianym kapeluszu wyglądam ponoć jak z filmu. Mówią jednak o „tu” sprzed lat, nie o „tu”, jakie jest teraz.

Stoję na balkonie byłej amerykańskiej ambasady w oddaleniu od towarzyszy podróży, spoglądając na uliczkę w dole. Przechodzący mężczyźni na mój widok oddają się gwizdom. Odchodzę, pamiętając o tym, że tak samo gwiz-

dzą z przejeżdżających maluchów na polskiej wsi. Takie same noszą też łańcuchy na szyjach, adidas i piłkarskie podkoszulki.

Pytam jednak Jacka nie o tamto, ale o to, dlaczego kobiety nie wychodzą do barów, restauracji. Czy nie ma takich tylko dla nich, tak jak są te dla mężczyzn? Jack śmieje się, że im to niepotrzebne – przecież mogą ugotować sobie same. Pytam więc, czy ich mężczyźni nie mogą zrobić podobnie. Mogliby, mówi, ale muszą przecież uciec od swoich kobiet!

Zastanawiam się wtedy głośno, czy taka geografia stosunków społecznych – zamknięcie kobiet w hidżabach i w przestrzeni prywatnej – ma zabezpieczyć ich wierność i czy się to w takim razie sprawdza. Jack śmieje się ponownie.

– Nie wiesz, jakie rzeczy one wyrabiają! Mają kochanków, którzy przychodzą pod nieobecność mężów, trudno je upilnować, nic to nie daje – zdradza.

## Wolna jak kot

Po południu kierujemy się do portu, zobaczyć Gibraltar po drugiej stronie cieśniny. W tangierskim porcie pełno kotów, bo i pełno ryb, i ich kawałków. Moja długa suknia włóczy się po ich resztkach. Z gumowymi butami nadwątłonymi amoniakiem z gołębich kup tworzą niezłą parę. W porcie nie pasuję. Pracujący tam mężczyźni spoglądają na mnie z drwiącym uśmiechem.

Buty następnego dnia lądują w koszu, suknia i zapach zgniłych ryb przyjeżdżają ze mną do Krakowa. Myśl o marokańskich kotach również, gdyż w Maroku stosunki ludzko-kocie mają się dobrze. W Rabacie koty chadzą swoimi drogami, w Fez leżą chore na rogach ulic, w Tangier jedne podjadają ryby w porcie, inne zaś okupują progi restauracji w zamian za świeże skrawki kurczaka.

One, w odróżnieniu od marokańskich kobiet, nie są zamknięte w czterech ścianach, schowane dla wybranych oczu. Są wolne.

KATARZYNA TABAKA

Zdjęcia autorki





# Wcisnęli karabin w ręce

**Z plecakiem  
do SARAJEWA**

**i kazali strzelać**



6

**36 st. Celsjusza w cieniu, wilgotność 50 procent, bezwietrznie. Wraz z siostrą stoimy na poboczu drogi nr E65 prowadzącej do granicy chorwacko-bośniackiej w Crveni Grm. Linia horyzontu wyraźnie oddziela bezchmurne niebo od wysuszonej słońcem ziemi, przez którą płynie asfaltowa rzeka. Jeden z samochodów zatrzymuje się kilka metrów od nas. Zza zakurzonej szyby wychyla się pulchna twarz kierowcy.**

– Pielgrzymi? – pyta. – *Bo jak jedziecie do Medjugorie, to ja mogę kawalek zabrać.*

Zerkam na różaniec przewieszony przez wsteczne lustro i szybko przywołuję w pamięci mapę.

– Tak, pielgrzymi – odpowiadam bez większego namysłu.

Rzucamy plecaki na tylne, mocno już obdrapane siedzenie. Zapach w samochodzie budzi wspomnienia z czasów dzieciństwa, kiedy dziadek zabierał mnie na przejażdżki swoim fiatem 126p.

– A wy to się tak nie boicie? I to dziewczuszki? – kierowca prawie wykrzykuje pytania, żeby przebić się przez szum wiatru wpadającego przez otwarte szyby. Klimatyzacja jest jedną z wielu rzeczy, których brakuje w aucie.

– A pan się nie boi tak obcych osób do samochodu zabierać? – odpowiadam równie głośno, walcząc z hałasem.

Mężczyzna uśmiecha się tylko i grozi mi palcem w ojcowski sposób.

**100 tys. zabitych i ponad 1,8 mln uchodźców w zaledwie 3 lata\***

– Jak pielgrzymi, to pewnie Polaki – mówi.

Kiwam potakująco głową.

– Wy też mieliście wojnę, wiecie, co to znaczy. Kierowca podaje mi swoją wizytówkę, z której dowiaduję się, że jest chorwackim lekarzem.

– Ja mam żonę i trójkę dzieci, a wcisnęli karabin w ręce i kazali strzelać, a to przecież nie nasza wojna była. Wtedy każdy chciał być po prostu niepodległy. My, oni. Mówię, wszyscy. Ale byli też tacy, co chcieli tylko władzy. Gdyby polityka była wtedy inna, to może by tego nie było. Ja miałem szczęście. Zrobili mnie medykiem w obozie. Jak mogłem, to pisałem listy do żony, a jak nie mogłem, to modliłem się o nią i o dzieci...

Cisza. Nie. Zaduma. Suche liczby przyswojone na lekcjach historii nagle nabierają ludzkich kształtów. Z zamyślenia wyrwa mnie chorwackie disco i donośny śpiew kierowcy.

– *Jutro moja córka wychodzi za mąż* – dorzuca i uśmiecha się szeroko, kiwając głową do rytmu najnowszego, chorwackiego hitu.

**Podczas oblężenia Sarajewa dzienna porcja jedzenia wynosiła 159 gramów, a średnie spożycie wody wahało się w granicach 5 procent przyjętej normy**

Do granicy w Crveni Grm postanowiłyśmy dostać się pieszo. Mijamy zaniedbane domy, przypominające żołnierzy stojących ramię w ramię w równym szeregu wzdłuż drogi. Plecaki, wypełnione po brzegi, zaczynają coraz bardziej ciążyć na ramionach. W jednym z niewielkich ogródków, dzielących wejście do domu od ulicznego chodnika, krząta się starsza kobieta, zamiatając jedyne dwa schodki prowadzące do przedsionka. Na nasz widok bez słowa odkłada miotłę i podaje nam na dłoni dwa świeżo zerwane pomidory. Tak po prostu, bez powodu. Jakim zaskoczeniem był dla nas wtedy ten jakże drobny i spontaniczny akt dobroci. Niby nic takiego, ale wtedy patrzyłyśmy na pomidory, niczym na najcenniejszy skarb świata. Choć przyznam się szczerze, że ich nie lubię.

**W 1992 roku w 466 serbskich obozach dla internowanych było przetrzymywanych ok. 120 tys. osób**

Im bliżej byliśmy granicy, tym dłuższy zdawał się być sznur samochodów czekających na swoją kolej. Jeden z kierowców macha na nas ręką i łamaną angielszczyzną pyta o cel podróży. Miał być Mostar, on jedzie do Sarajewa, więc my też pojedziemy, korzystając ze sposobności.

Bośnia i Hercegowina wita nas ulewnym deszczem. Mężczyzna bezwiednie zaczyna stukać palcami w kierownicę w rytm pracujących wycieraczek.

- *Studentki? Na wakacje?* – zagaduje.
- *Tak. Ty do pracy?* – pytamy.
- *Wracam z urlopu. Do wojska.*
- Pokazuje żołnierską legitymację.
- *Dlaczego akurat Bośnia?* – nie kryje ciekawości.

– *Ten kraj ma o wiele więcej ciekawych miejsc do zaoferowania, niż mówią o tym przewodniki* – odpowiadam, wywołując przelotny uśmiech na twarzy kierowcy.

– *Ale stolica jeszcze zniszczona po wojnie.*

– *Też walczyłeś?* – pytam niepewnie.

– *Ano walczyłem, ale ta wojna była niepotrzebna.*

Pomimo zacinającego deszczu mężczyzna uchyla szybę i odpala papierosa.

– *Sarajewo jest w kotlinie. Zajęli pozycje na górach dookoła miasta i strzelali do wszystkiego co się rusza. Nie uważaliby nawet, gdyby zaczęli bić w swoich. Zresztą, jak stwierdzić, kto swój, a kto wróg, jak to wszystko Jugosławia była? Ale najbardziej nasza niepodległość bolała Serbów. A teraz do niczego się nie przyznają. Do Srebrenicy też nie. Ani do obozów. A nikt nie chce ich ciągnąć za język, bo komu zależy na takim biednym państwie, jak Bośnia?* – mężczyzna zaciągnął się papierosem.

Szary dym wypełnił niewielkie wnętrze samochodu.

– *Ale ta wojna była niepotrzebna...*

Do Sarajewa dojeżdżamy późną nocą. W strugach deszczu kierujemy się do pierwszego lepszego hostelu. Byle były łóżka. Nie, może być nawet kawałek podłogi. I prysznic. Przemoczone do suchej nitki, musimy wyglądać dość żałośnie, gdyż chłopak z recepcji obrzuca nas niepewnym spojrzeniem. Ale to nic, znajdą się dla nas dwa miejsca.

Wraz z pierwszymi promieniami słońca ze snu wyrwa nas śpiew muezinów nawołujących ze swoich minaretów do modlitwy. Przypominam sobie krótką rozmowę z pewnym studentem z Hongkongu spotkanym w podróży. Na pytanie, dlaczego jeździ po świecie, odparł, że w Chinach mówi się, iż lepiej wybrać się w jedną podróż, niż przeczytać tysiąc książek.

Z każdym kolejnym krokiem chodnikami Sarajewa uświadamiam sobie znaczenie tych słów...

Wychodzimy na plac, od którego rozchodzą się dziesiątki wąskich, krętych uliczek. Zarówno kobiety, jak i mężczyźni krzątają się dookoła w pośpiechu, rozkładając na straganach wszystko, co tylko można sprzedać: od zabawek i sztuczków przez naczynia i biżuterię aż po meble. Za chwilę cała okolica zamieni się w ogromny pchli targ. ▶

**„Nie myślcie, że nie sprowadzicie na Bośnię i Hercegowinę piekła, i nie myślcie, że prawdopodobnie nie poprowadzicie Muzułmanów do zagłady, bo nie są w stanie się obronić, jeśli zacznie się wojna” (Radovan Karadžić, lider Serbskiej Partii Demokratycznej, wrzesień 1991)**



- Im dalej idziemy, tym bardziej kopuły na dachach i arabskie zdobione fasady budynków ustępują miejsca europejskiej architekturze, jakby odznaczając na osi czasu dzień, w którym Sarajevo po ponad 400 latach panowania Turków Osmańskich przeszło w ręce Austro-Węgier. To miasto, w którym Wschód spotyka się z Zachodem, gdzie kościoły katolickie stoją w harmonii obok meczetów.

Zakonnik w długim habicie czeka cierpliwie, aż muzejn zakończy swoją pieśń, żeby pociągnąć za sznury dzwonów. Nie śmiałyby zagłuszyć jego modlitwy.

**W ciągu 1425 dni oblężenia na Sarajewo spadało dziennie średnio 2,5 tys. pocisków i 329 granatów**

Słońce znajduje się już w najwyższym punkcie, kiedy docieramy do tzw. alei Snajperów, drogi, która podczas oblężenia miasta znajdowała się pod stałym ostrzałem. Niemalże na każdym mijanym budynku można jeszcze znaleźć ślady po kulach. Wsunąć palce w podziurawione niczym dobry szwajcarski ser cegły.

Spoglądając pod nogi, od czasu do czasu dostrzeżemy sarajewskie róże – ubytki po pociskach wypełnione czerwoną żywicą. Zarówno kształt, jak i kolor powodują, że na pierwszy rzut oka widzimy ogromne kałuże krwi przelanej na chodnikach miasta.

Płaskorzeźby oznaczają miejsca, w których śmierć poniosło najwięcej osób. W samym centrum jest ich aż dwanaście. Bez słowa mijają nas matka z dzieckiem, niosąc torby pełne zakupów, kilku studentów z oczami wbitymi w ekran telefonu, gimnazjaliści na deskorolkach i tłum ludzi

zmierzających w sobie tylko znanym kierunku. Nikt nie patrzy pod nogi. Jak gdyby nigdy nic się nie stało. Jak gdyby zapach wojny nie unosił się wciąż w wilgotnym powietrzu.

Na przystanek podjechał ostentacyjnie żółty tramwaj. Jego barwa przywodzi na myśl promień słońca leniwie snujący się przez ulice miasta. Mówi się, że kolor żółty ma wpisany w siebie prostą prośbę – *wysłuchaj mnie, bo mam ci tyle do powiedzenia*. Metalowe elementy zazgrzytały donośnie, kiedy maszynista ruszył dalej w stronę skrzyżowania.

Przechodzimy na drugą stronę rzeki Miljacki. Prawie na całej długości jej brzegu rozciąga się otwarta wystawa o tematyce antywojennej. Uśmiecham się na widok wzmianki o Wałęsie.

Na jednej z metalowych sztalug widnieje cytata Alberta Arnolda Gore'a Juniora:

*„Następne generacje zadadzą nam jedno z dwóch pytań. Zapytają nas o to, co myśleliśmy, dlaczego nie zareagowaliśmy, lub o to, jak znaleźliśmy moralną odwagę przeciwstawić się i skutecznie rozwiązać problem, o którym tak wielu twierdziło, że nie da się tego zrobić”.*

MAGDALENA KOŚLA

Zdjęcia autorki

\* Dane statystyczne w śródtytułach oraz inne informacje dotyczące konfliktu zbrojnego mającego miejsce w latach 1992–1995 na terenie Bośni i Hercegowiny zostały zaczerpnięte z materiałów znajdujących się w muzeum w Sarajewie poświęconym tej wojnie



# O Marakeszu i Gilgameszu

Rozmowa z **JUSTYNĄ LENARTOWICZ**, autorką zdjęć prezentowanych na wystawie pt. **Spotkania** w Mysłowickim Ośrodku Kultury



## ▪ Dlaczego Maroko i Gruzja?

– Odwiedziłam te kraje, ponieważ taką możliwość stwarza mi uczestniczenie w warsztatach fotograficznych, w ramach których co 2–3 miesiące odbywają się wyjazdy w plener. Można pojechać bliżej – do Pragi lub Lwowa – albo na dłuższą wyprawę – do Gruzji bądź Maroka. Zdecydowałam się na podróż dalszą, choć nie wiedziałam, czego się spodziewać – jaką zastanę przestrzeń, co mnie zainteresuje. Nie potrafiłam przewidzieć efektów, ale jestem z nich zadowolona. Cieszą mnie zwłaszcza te zdjęcia, których okoliczności wykonania znam tylko ja. Inni mogą się ich jedynie domyślać.

## ▪ Powstały naprawdę profesjonalne fotografie. Wykonałaś je dla przyjemności czy z zamiarem pokazania na wystawie?

– Zrobiłam te zdjęcia, ponieważ odczuwałam taką potrzebę. Przez myśl mi nie przeszło, że będę miała możliwość zaprezentowania ich szerszemu gronu. Mam nadzieję, że udało mi się przedstawić uniwersalną historię, którą obserwatorzy będą mogli w jakiś sposób odnieść do swojego życia.

## ▪ A więc twoje prace mają skłaniać do przemyśleń. Czarno-białe zdjęcia bardziej sprzyjają refleksjom?

– Myślę, że tak. Fotografie monochromatyczne ułatwiają przekaz. Są bardzo subtelne, wprowadzają ład, spokój, harmonię. Nie rozpraszają, pozwalają skupić uwagę na tym, co najważniejsze.

## ▪ Które ze spotkań, bo to one stały się tematem twojego wernisażu, uznałabyś za najciekawsze?

– Tych spotkań było dużo... Najbardziej emocjonujących doświadczyłam w Gruzji. Wszystkie miały w sobie coś, co zadecydowało o wyglądzie zdjęć. Do każdej fotografii

mam sentyment dzięki przygodzie, która się z nią wiąże. Nie potrafię wskazać najlepszego spotkania. Zarówno te z dziećmi, jak i te z dorosłymi okazały się wyjątkowe. Każde z nich było inne.

## ▪ Podczas uroczystego otwarcia wystawy mówiłaś, że doświadczyłaś kilku smutniejszych spotkań. Czy ze zdjęciem przedstawiającym leżącą kobietę wiąże się jakaś przykra historia?

– To było w Marakeszu w Maroku. Widząc rozciągniętą na ziemi osobę, przestraszyłam się. Pomyślałam, że może potrzebować pomocy. Gdy podeszłam bliżej, okazało się, że to przystanek autobusowy, gdzie każdy oczekiwał na pojazd w najwygodniejszej dla siebie pozycji. Jedni stali, inni przysiedli na ławce pod murkiem, a pewien gość – tak, to mężczyzna – odpoczywał, leżąc.

## ▪ Zaniepokoiło mnie jeszcze jedno zdjęcie. Przedstawiona scena kojarzy mi się z grzebaniem zwłok po krwawej bitwie. Wiesz, o której fotografii mówię?

– Tak! To garbarnia w Marakeszu – przerażające miejsce. Smrodu nie da się opisać. Był nie do zniesienia mimo liści mięty włożonych do nosa. Nieprzyjemny zapach potęgowała trzydziestostopniowa temperatura. W tak trudnych warunkach, wśród barwionych tkanin i schnących ►



► skór, pracowali ludzie, zanurzeni do pasa w mieszance farb i substancji chemicznych.

▪ **Teraz wiem, czemu zdjęcie wzbudza we mnie negatywne emocje. Jednak większość twoich fotografii sprawia wrażenie ciepła, spokoju i naturalności – zwłaszcza ujęcia przedstawiające dzieci. Czy to one były najlepszymi modelami?**

– Zdecydowanie tak. Dzieci, z natury spontaniczne i ufnie, same przybiegały, uśmiechały się, zaczęły mnie. Nieraz wręcz trudno było się od nich uwolnić. Chętnie pozowały, nie oczekując nic w zamian. Zdjęcia powstawały często w prymitywnym otoczeniu, w zaułkach ulic. Mimo nieciekawej przestrzeni udało mi się oddać bez troskę maluchów umiających się bawić bez zabawek. Mają tylko siebie i są szczęśliwe.

▪ **Tak, jak chłopiec z katarem ciekącym z nosa?**

– Aaa, Gilgamesz! (*śmiech*) Został tak ochrzczony przez oglądających zdjęcie.



▪ **Uchwycenie „gila” to był zamierzony efekt?**

– Nie. To po prostu zdjęcie szczęśliwego dziecka. (*śmiech*) Chłopczyk był razem ze swoją gruzińską rodziną. Gdy zaczęłam ją fotografować, szybko zostałam zauważona i poproszona o podjęcie bliżej. Wtedy udało mi się wykonać to ujęcie. Wszyscy pytają o Gilgamesza... (*śmiech*).

▪ **I nie tylko o niego. Podczas oglądania wystawy kilka osób próbowało określić charakter twoich zdjęć. To fotografia reportażowa czy może pamiątkowe ujęcia z podróży?**

– Skłaniałabym się ku fotografii reportażowej. Zdjęcia zostały zrobione w krajach egzotycznych, więc można je uznać za podróżnicze... Nie przedstawiają jednak nic szczególnego. To proste fotografie, proste historie.

▪ **Za to ich wykonanie pewnie nie było aż takie łatwe. Ludzie chętnie pozowali do zdjęć – jak gruzińska rodzina – czy częściej musiałas fotografować z ukrycia?**

– Gruzja i Maroko pod tym względem diametralnie się różnią. Gruzini to naród przyjazny, otwarty, gościnny. Cza-

sem aż trudno się było opędzić od ludzi, którzy zapraszali mnie do swojego zakładu szewskiego czy piekarni, sami wchodzili przed obiektyw. Fotografowanie w Gruzji to bardzo wdzięczne zajęcie. Mieszkańcy tego kraju chcieli być na moich zdjęciach, sprawiało im to przyjemność. Marokańczycy natomiast rzadko wyrażali chęć pozowania. Jeżeli już, to tylko przez chwilę i tylko przy jednym zdjęciu. Gdy zaczynało być nas więcej, rezygnowali.

▪ **Robert Capa – sławny węgierski fotoreporter XX w., autor fotografii z pięciu wojen – uważał, że jeśli zdjęcie nie wychodzi, to dlatego, iż jesteś za daleko. Zgadzasz się z tym stwierdzeniem?**

– Tak. Dzięki doświadczeniom z wyjazdu mogę powiedzieć, że bliskość, kontakt wzrokowy z fotografowanym, a także rozmowa umożliwiająca wytworzenie specyficznej aury przed zrobieniem zdjęcia dają pożądany efekt.

▪ **Tak więc przyznajesz rację Robertowi Capie. Jest jakiś mistrz, któremu chcesz dorównać?**

– Nie. Często przeglądam prace znanych fotografów, i nierzadko stają się one dla mnie inspiracją. Jednak nie myślę o tym podczas wykonywania zdjęć. Powstają tak, jak ja to widzę.

▪ **Efekt twojej pracy była wystawa zdjęć w Mysłowickim Ośrodku Kultury. Jak się czujesz po pierwszym wernisażu?**

– To była niesamowita przygoda, ale i wielkie wyzwanie. Spoczywał na mnie obowiązek przygotowania zdjęć, samodzielnej ich obróbki. Mimo że miałam pomocników, czułam się za wszystko odpowiedzialna. Przygotowaniom do wystawy towarzyszyła niepewność. Po wszystkim mogę powiedzieć, że jestem bardzo szczęśliwa. Czuję ogromną satysfakcję. Cieszę się, że właśnie w taki sposób zostałam wyróżniona. To dla mnie pierwsze tego typu doświadczenie i mam nadzieję, że nieostatnie.

▪ **Z niecierpliwością czekam na twój kolejny wernisaż. Pozostaje mi na koniec zapytać: dokąd następna wyprawa?**

– Już niebawem powtórzę wyjazd do Gruzji. Tym razem wstąpię również do Azerbejdżanu. Uważam, że to miejsce magiczne. Kto raz zobaczy ten kraj, nie będzie się mógł oprzeć pokusie odwiedzenia go ponownie.

Rozmawiała  
MAGDALENA FIBA

Justyna Lenartowicz – rocznik '87. Mieszka i pracuje w Krakowie. Z wykształcenia pedagog resocjalizacji, zawodowo związana z branżą stomatologiczną. Większość wolnego czasu spędza aktywnie, poza domem, twierdząc, że doba trwa zbyt krótko. Od dwóch lat uczestniczy w autorskich warsztatach fotografii twórczej w Katowicach

# - Bo JA unikam starości

Rozmowa z **HELENĄ JANKOWSKĄ**,  
członkinią Związku Kombatantów  
Rzeczypospolitej i Byłych Więźniów  
Politycznych

• **W czasie drugiej wojny światowej nie prezentowała pani biernej postawy. W jaki sposób walczyła pani o wolność?**

– Byłam prawą ręką chłopców z lasu. Tak nazywaliśmy wówczas członków konspiracyjnej organizacji ludowej. Niewiele osób wie, że nazwa *Bataliony Chłopskie* powstała dopiero w 1941 roku. Do tego momentu partyzantów oficjalnie nazywano *Chłopską Strażą*. Dla mnie to byli po prostu koledzy, niewiele starsi ode mnie. Kiedy potrzebowali pomocy młodej dziewczyny, która nie budziła podejrzeń żołnierzy niemieckich, zwracali się do mnie. I wiedzieli, że nie odmówię.

• **Na czym polegały pani zadania?**

– Czasem chodziło o sprawy błahe, takie jak jedzenie. Zdarzały się też poważniejsze wyzwania. Wielokrotnie przewoziłam tajne dokumenty, meldunki czy rozkazy. Sytuacje były bardzo stresujące. Zdarzyło się, że zostałam zatrzymana przez niemieckiego żandarma w celu sprawdzenia dokumentów. Miałam przy sobie sprawozdanie naszych chłopców. Moim zadaniem było przekazać je dalej, aby finalnie dotarło do dowództwa. Na szczęście udało mi się dobrze ukryć dokumenty. Pod bluzką. Tak było najbezpieczniej. Często ludzie mówią, że tylko spokój może nas uratować. To powiedzenie idealnie sprawdzało się w tamtych trudnych czasach. Opanowanie emocji pozwoliło mi przeżyć tamtą sytuację.

• **Ryzyko, emocje, odpowiedzialność – to bardzo trudne, zwłaszcza dla młodej dziewczyny. Dlaczego zdecydowała się pani na współpracę z Batalionami Chłopskimi?**

– Tak, to prawda. Nie był to lekki czas, zwłaszcza dla siedemnastoletniej dziewczyny. Ale ja tak zostałam wychowana. W duchu patriotyzmu. Wiedziałam, że to ważny czas dla kraju, dla świata i dla mnie samej. Nie wiem, czybym potrafiła dziś z czystym sumieniem spojrzeć w lustro, mając świadomość, że wówczas okazałam obojętność. Dziś

nadal jestem przekonana, że tak trzeba. To jedyna słuszna postawa. Mam nadzieję, że wy, młodzi, nigdy się o tym nie przekonacie. Życzę wam tego. Muszę przyznać, że chłopcy w lesie wielokrotnie rozmawiali o tym, dla kogo tak naprawdę walczą. I nie robili tego dla sławy, honoru czy podziwu. Robili to dla tych, którzy po nich przyjdą.

• **Wśród chłopców z lasu znalazła pani miłość swojego życia.**

– To się stało zupełnie przypadkiem. Dostałam rozkaz dostarczenia meldunku do oddziału stacjonującego kilka kilometrów od miejscowości, w której mieszkałam. Pojechałam tam po raz pierwszy. Dokładnie pamiętam Staszka, mojego przyszłego męża. Choć, przyznam, tamtego dnia nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi. Byłam skupiona na zadaniu, które miałam wykonać. (*śmiech*) Potem on nalegał na spotkanie. Uległam i nie wiadomo kiedy zostałam żoną. Przeżyliśmy razem 56 szczęśliwych lat.

• **Jaki jest przepis na tyluletnie, szczęśliwe małżeństwo?**

– Nie ma przepisu. Trzeba dysponować odrobiną rozsądku, który pozwoli młodym małżonkom na kompromis. I rozmowy. Poważne i zupełnie błahe, ale częste i szczere. O wszystkim. Dzisiaj często się mówi, że ludzie zamiast coś naprawiać, wyrzucają to do śmieci. To prawda, ale w przypadku małżeństw chyba nie do końca o to chodzi. Młodym wydaje się, że mają przed sobą tak dużo czasu, że jeszcze tylu rzeczy mogą spróbować, doświadczyć. Odrzucają obowiązki i to, co ich ogranicza. Dlatego rozmawiamy z naszymi bliskimi o przestrzeni osobistej. I nigdy nie ograniczamy siebie nawzajem. Miłość to wolność. ▶





► **Czy mąż również był członkiem Związku Kombatanatów Rzeczypospolitej i Byłych Więźniów Politycznych?**

– Oczywiście, że tak. Był z tego dumny, ale nigdy nie nadużywał przysługujących mu praw. My, członkowie, mamy możliwość korzystania z opieki lekarskiej bez kolejki. Staszek, nawet kiedy pilnie potrzebował pomocy, nigdy z tego prawa nie korzystał. Zawsze powtarzał, że chce rozmawiać z pacjentami w poczekalni. Uwielbiał rozmawiać. Mógł robić to godzinami. Twierdził, że poznając ludzi, poznaje świat. Nie mógł zrozumieć, dlaczego osobiste rozmowy i bezpośrednie kontakty zastępowane bywają przez SMS-y.

▪ **Jakie korzyści płyną z bycia członkiem tej organizacji?**

– Tak jak wspomniałam, mamy prawo korzystać z opieki medycznej poza kolejką. Związek dopłaca również do naszych podstawowych emerytur, ale są to bardzo symboliczne kwoty. Z naciskiem na słowo „bardzo”. Najważniejszą korzyścią jest to, że możemy się spotykać i wspominać dawne czasy. To zawsze bardzo miłe chwile. Niestety, wszystko się kończy – my, przedwojenni, również. Jest nas coraz mniej na spotkaniach.

▪ **Pani jednak tryska pozytywną energią.**

– Bo ja unikam starości. Udam, że mnie ona nie dotyczy, i nikomu nie pozwalam zaglądać do swojej metryczki urodzenia. *(śmiejąc)* Uważam, że to nie jest kwestia wieku. Czasem, gdy odwiedzam jakąś szkołę, żeby opowiedzieć młodym ludziom o Batalionach Chłopskim, jestem przerażona. Nie wiem, czy zdaje sobie pani sprawę z tego, ile wśród licealistów jest młodych staruszków. Tak ich nazywam, bo nie mogę pojąć, gdzie się podziała ich radość życia i energia. To zastanawiające. Myśmy tacy nie byli. Może dlatego, że niemal za rogiem czyhała na nas śmierć. Cieszyliśmy się byle czym.

▪ **Bardzo proszę, żeby dokończyła pani kilka zdań. Zaczniemy od „nie umiem”...**

– ...wstyd się przyznać, ale gotować rosołu. Ludzie mówią, że to takie proste. Potrawa niemal narodowa. A ja nie umiem.

▪ **„Kiedys byłam”...**

– ...młoda i nie miałam zmarszczek.

▪ **„Dziś jestem”...**

– ...nadal młoda, ale coś się stało z kolorem moich włosów. *(śmiejąc)*

▪ **„Czas mnie uczy”...**

– ...cierpliwości.

▪ **„W trudnych momentach”...**

– ...przypominam sobie słowa mamy, która twierdziła, że płakać można tylko w czystym domu. Więc najpierw sprzątam, a dopiero potem załamuję ręce.

▪ **„Kocham”...**

– ...ludzi.

▪ **„Lubię”...**

– ...zwierzęta.

▪ **„Nie znoszę”...**

– ...hałasu i tych piosenek zrobionych komputerowo na raptem dwóch dźwiękach.

▪ **„Żałuję”...**

– ... jest kilka szans, które zmarnowałam albo przepięłam.

▪ **„Nie mogłabym żyć”...**

– ...bez mojej rodziny.

▪ **„Chciałabym”...**

– ...żeby wszystko, w co wierzę, okazało się prawdą. Trudno byłoby się pogodzić z tym, że cały system wartości, poglądy i przekonania były źle ukierunkowane...

▪ **Kończąc naszą rozmowę, chciałabym zapytać, czego mogę pani życzyć.**

– Zdrowia, jeszcze kilku lat życia w pełnej świadomości tego, co wokół, i wielu prawnucząt.

▪ **W takim razie właśnie tego pani życzę. Proszę dbać o pozytywną energię, którą zaraża pani innych.**

Rozmawiała  
MAGDALENA ŁUKASIK

Fot. Archiwum autorki



# - Chciałabym, żeby więcej studentów

chciało do nas pisać

Rozmowa z **PATRYCJĄ PANCERZ**, studentką filologii polskiej Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie, redaktorką naczelną czasopisma ogólnouczeniowego „Studens Scribit”

▪ **Zacznijmy od twoich zainteresowań. Czy w jakimś stopniu są one pomocne w pracy przy wydawaniu czasopisma studenckiego „Studens Scribit”?**

– Uwielbiam czytać. Odkąd pamiętam, pochłaniałam masę książek. Myślę, że przydaje mi się to teraz w pracy redaktora, ponieważ jestem właściwie pierwszym czytelnikiem tekstu. Jeśli na początkowym etapie czytania nie zrozumie tego, o czym pisze autor, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że i czytelnik będzie miał z tym kłopot. Jest to dość istotne zwłaszcza przy ocenie informacji, kiedy nie przykładają się zbyt wielkiej wagi do samego artyzmu tego gatunku, ważne zaś staje się przekazywanie faktów. Wydaje mi się także, że same studia edytorskie dają mi wiele przy redagowaniu. Dzięki zajęciom z korekty i łamania tekstu potrafię samodzielnie zrobić korektę czy porozumieć się z operatorem DtP bądź opiekunem edytorskim na poziomie może jeszcze nie zaawansowanym specjalistycznie, ale na pewno już w jakimś stopniu bardziej ukierunkowanym. Braki w wiedzy ogólnej staram się uzupełniać na bieżąco.

▪ **Jak dużo czasu poświęcasz na pracę nad przygotowaniem pisma, którym kierujesz?**

– To nie jest tak, że mogę sobie wybrać jeden dzień w tygodniu, kiedy siadam i wszystko ogarniam. Owszem, tyle czasu zajmuje zwykle sama korekta, ale oprócz niej jest jeszcze masa rzeczy do zrobienia. Na bieżąco trzeba uzupełniać dokumentację, napisać prośbę do władz uczelni o zgodę na druk, a to wszystko nie dzieje się w jednym czasie. Czasami zdarza mi się odbierać dokumenty między zajęciami. Kontaktowanie się z autorami również zabiera sporo czasu. Ponadto prowadzę fanpage czasopisma, staram się regularnie wrzucać posty, by kogoś zainteresować tym, co się wokół dzieje, a może zainspirować kogoś do napisania ciekawego artykułu. Niestety, mam taką okropną

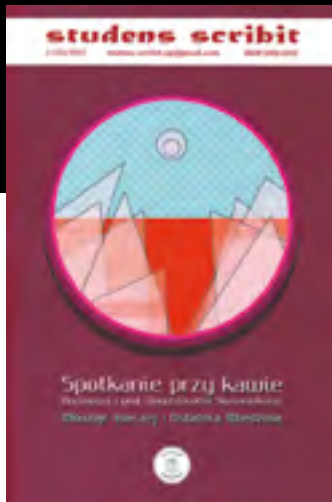
cechę charakteru, że wszystkim się przejmuję, więc całymi dniami potrafię się zamartwiać, czy uczelnia wyda zgodę na druk lub czy ta i ta osoba wyśle artykuł. Sama praca nad czasopismem sprawia mi jednak ogromną przyjemność. Poznałam wielu ciekawych ludzi, dużo nowego się nauczyłam, ale to wieczne zamartwianie się, by wszystko wyszło dobrze, bywa bardzo męczące.

▪ **Jak widzę, niewiele pozostaje ci czasu wolnego...**

– ...ale zawsze znajduję chwilę na posłuchanie muzyki. Na mojej playliście można znaleźć piosenki rockowe, metalowe, popowe albo soundtracki do gier czy filmów. Nie brakuje też na niej kilku kawałków muzyki country. Lubię się również spotykać ze znajomymi, chodzić do kina czy teatru. Ostatnio byłam na spektaklu *Mayday*. Świetna komedia, naprawdę ją polecam. Idealna, żeby się odstresować, przestać na chwilę myśleć o świecie i skupić na tym, co akurat robią na scenie aktorzy. Może za jakiś czas wybiorę się na *Mayday 2*... Oglądam filmy, mnóstwo filmów, przy czym niektórzy twierdzą, że mam okropny gust. No cóż, nie każdy może dostrzec urok w amerykańskiej wytwórni Marvela produkującej filmy na podstawie komiksów. Lubię się śmiać, więc często relaksuję się przy kabaretach Paraniennormalni, Kabaret Skeczów Męczących czy Kabaret Moralnego Niepokoju. W czasie wolnym wychodzę też z psem na spacer. Mam kiepską orientację w terenie, więc w ten sposób ją ćwiczę. Nie pochodzę z Krakowa, dlatego dzięki temu poznaję najbliższe otoczenie.

▪ **Ile tekstów musisz przeczytać i poprawić do jednego wydania „Studens Scribit”?**

– Kilkanaście. Ale niekiedy jest to miła praca. Są studenci, którzy mają jakieś pasje i chcą się nimi dzielić ze światem. Marek Żołądek, doktorant UP, podróżnik, doczekał się stałej rubryki w naszym czasopiśmie. Pisał już artykuły ►



► o Nowej Zelandii, górze Hua w Chinach, o Nowym Jorku czy o Cieśninie Magellana. Odnoszę wrażenie, że był wszędzie, że zwiedził każdy zakątek świata. O podróżach pisze również dla nas regularnie Sabina Ciszak. Z kolei Ewelina Janowska przeprowadza naprawdę dobre wywiady, bez niej „Studens Scribit” byłby uboższy. Czasami ktoś chce się czymś podzielić i napisze jeden artykuł. To też jest dobre. Nikogo nie zmuszam, by na stałe do nas pisał. Wydaje mi się, że studenci nie do końca zdają sobie sprawę z tego, że mogą po prostu coś napisać i nam wysłać. Nie odrzucamy tekstów. Od tego mamy i redakcję, i korektę, by poprawiać nawet teksty tak okropne, że później śnił się nam po nocach. Wychodzę z założenia, że nikt nie pisze źle. A przecież nie o to chodzi, by tekst był nienaganny pod każdym względem, tylko żeby opisywał coś interesującego.

## ▪ Z kim pracujesz przy tworzeniu „Studens Scribit”?

– Z wieloma osobami. Najważniejsi są dla mnie operator DtP oraz opiekun edytorski. Tomasz Zacharski łączy nasze teksty i ogarnia je typograficznie, a Ewa Bednarska-Gryniewicz wykonuje profesjonalną korektę i redakcję tekstu. Wiele się od nich nauczyłam. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby nie ich cenne rady. Pan Tomasz i Ewa podrzucają mi wiele ciekawych pomysłów, które później chętnie wykorzystuję. To między innymi dzięki nim otworzyłam się na bardziej artystyczne, a mniej naukowe teksty. Dzięki temu od numeru siedemnastego można przeczytać opowiadanie fantastyczne. Oni również zaproponowali współpracę z Markiem Glogierem, pracownikiem archiwum naszej uczelni. Pan Marek przygotowuje zawsze dla nas obszernie artykuły, pełne ciekawostek o uczelni. W najnowszym numerze napisał artykuł o budynkach, które były kiedyś w planach uczelni i nie zostały z jakiegoś powodu wybudowane. Od początku pełnienia przeze mnie funkcji redaktora współpracuję z Kacprem Kordusem projektującym dla nas okładkę. Jest dla mnie wyrozumiały, kiedy proszę o zmianę koloru lub czcionki albo nawet całego projektu. Z ramienia Samorządu Studenckiego współpracuję z przewodniczącą Aliną Greliak, osobą niezwykle pomysłową i pomocną. Cierpliwie podpisuje dokumenty, które jej podsyłam. Ma też mnóstwo pomysłów, jak rozwijać Samorząd i samo czasopismo. Choć bywa strasznie zabiegana, daje sobie ze wszystkim świetnie radę.

## ▪ Czy masz jakieś plany, jak rozwinąć „Studens Scribit”?

– Chciałabym, żeby więcej studentów chciało do nas pisać. Coraz bardziej angażuję się w pracę nad naszym fanpage’em na Facebooku, żyjemy przecież w czasach, że

nie można ignorować roli mediów społecznościowych. Zależy mi też na zawartości merytorycznej pisma. Nie chodzi mi o to, by nagle pojawiały się w nim jedynie artykuły naukowe o poważnej tematyce, najlepiej tylko o Schopenhauera i od czasu do czasu Arystotelesa. Myślę tutaj raczej o większym niż dotychczas zasięgu „Studens Scribit”. Podjęłam już współpracę

z Nowohuckim Centrum Kultury. Myślę, że jest to pierwszy krok na otwarcie się na wszystkie możliwości, jakie daje studentom Kraków. Marzę również o tym, by coraz więcej osób czytało nasze czasopismo, żeby któryś z artykułów kogoś naprawdę zaciekawił i do czegoś zainspirował.

## ▪ Co daje ci praca redaktorska nad czasopismem ogólnouczelnianym?

– Ogromną satysfakcję, kiedy już wyjdzie dawno oczekiwany numer. Kiedy ktoś do mnie podchodzi i chwali, że ładna okładka, że ciekawe artykuły, to aż chce się żyć. Na pewno też owa praca stanowi dla mnie spore doświadczenie zawodowe. Nauczyłam się rozmawiać z ludźmi, wykonywać korektę tekstu. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z tego, jakie to trudne. Praca redaktora naczelnej to dla mnie jednak przede wszystkim ogromna odpowiedzialność. Zagłębiając się również w zagadnienia językowe czy typograficzne i wydaje mi się, że dzięki temu będę w przyszłości lepszym edytorem. Zanim zostałam redaktorem, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że uczelnia jest tak niezwykle interesującym miejscem. Tyle się tutaj dzieje! Spotkania w Bibliotece Głównej UP, konferencje, spektakle w teatrze klubu „Bakałarz”! Chciałoby się o tym wszystkim napisać...

## ▪ Wiążesz przyszłość z pracą redaktorską?

– Przyznam, że nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Praca redaktora sprawia mi ogromną przyjemność, ale nie wiem, czy jestem w tym wystarczająco dobra. Mam wiele wad, których akurat redaktor mieć nie powinien. Jestem też z natury introwertykiem, a jednak redaktora musi cechować otwartość. To chyba nie jest odpowiedni zawód dla mnie. Mam jednak wrażenie, że się w nim spełniam, i, jak już wspomniałam wcześniej, praca nad czasopismem przynosi mi ogromną satysfakcję. Zobaczę więc, jak sobie na dłuższą metę poradzę ze „Studensem”; to wciąż dla mnie duże wyzwanie. Później zobaczę, jakie plany ma wobec mnie los...

Rozmawiała  
EWELINA MADEJ

Fot. Karolina Nartowska

Projekt okładki „Studens Scribit”: Kacper Kordus



# Na miotle do **KABARETU**



**Zadebiutowała rok temu na scenie krakowskiej Rotundy podczas 32. Przeglądu Kabaretów Amatorskich PAKA i natychmiast podbiła serca widzów. Swoją upartością i wytrwałym dążeniem do celu udowadnia, że chce to móc, a wydarzenia z jej życia pokazują, iż marzenia się spełniają... nieoczekiwanie. Jak sama o sobie mówi, jest kobietą pracującą i żadnej pracy się nie boi, co odzwierciedla w życiu, wcielając się w różne role. Objawienie ostatniego roku w polskim kabarecie – **GWIAZDA BEZ PRZESADY**.**

▪ **Okrzyknięto cię największą kabaretową gwiazdą ostatniego roku...**

– To miłe..., owszem działo się wiele przez ten rok w moim życiu.

▪ **Od kiedy interesujesz się kabaretem?**

– Już chyba jako nastolatkę zaczęło mnie to kręcić. Od zawsze byłam dzieckiem radosnym, uwielbiałam się śmiać i oglądać festiwale kabaretowe. Jednak myślę, że momentem przełomowym w moim życiu, kiedy stwierdziłam, że chciałabym być jakkolwiek częścią kabaretu, okazało się odkrycie przeze mnie improwizowanego serialu „Spadkobiercy”, który dosłownie powalił mnie na kolana! Wtedy zaczęła kielkować we mnie myśl, by coś w tym kierunku zrobić.

▪ **I po kilku latach rzeczywiście weszłaś w ten świat!**

– Tak, ale długo nie mogłam się jednak do świata kabaretu dostać. Mimo to nie rezygnowałam i starałam się być chociaż bierną jego częścią jako widz i zapalona fanka zarówno wszelakich programów kabaretowych, jak i festiwali

i występów na żywo. To również nie było proste, ponieważ o ile dostęp do telewizji miałam nieograniczony, o tyle na występy na scenie musiałam czekać długo.

▪ **Dlaczego?**

– Pochodzę ze wsi spod Kielc. Kielce nie są miastem wybitnie kulturalnym. Gdy byłam w gimnazjum i liceum, mało się w nim działo, góra dwa, trzy występy do roku to było coś. Wiejskie festyny też nie stawiały na kabaret, tylko na gwiazdy muzyczne. Chociaż pamiętam, że na dwóch festynach pojawiły się kabarety – jeden to był bodajże Kabaret Jurki, drugi Kabaret Skeczów Męczących. Wiem, że teraz jest pod tym względem lepiej, że odbywa się Polska Noc Kabaretowa, Świętokrzyska Gala Kabaretowa, organizowane są też jakieś małe festiwale. Druga kwestia to oczywiście pieniądze. Jako zapalona fanka, musiałam mieć miejsce każdorazowo w pierwszym rzędzie, a wiadomo, że to kosztuje.

▪ **Jak to się stało, że w końcu zaczęłaś czynnie uczestniczyć w życiu kabaretowym?**

– Cieszę się, że o to pytasz, bo to po prostu moja opowieść życia! Gdy dostałam się na studia w Krakowie, myślałam, że wszystkie drzwi będą stać dla mnie otworem, że w końcu spotkam ludzi, którzy podobnie jak ja interesują się kabaretem. Myliłam się i to bardzo. Na moim roku nikt nie interesował się tego typu rozrywką. Wracając pewnego dnia do domu, pomyślałam, że tak dłużej być nie może. Wertując strony internetowe, natrafiłam na studia kabaretowe organizowane przez Stowarzyszenie Promocji Sztuki Kabaretowej PAKA. Bez namysłu, natychmiast się zgłosiłam. Jednak studia nie ruszyły, ponieważ było za mało chętnych. I tutaj następuje moment kulminacyjny, od którego wszystko się zaczęło. Alicja – osoba, która zajmowała się rekrutowaniem ludzi na studia – zaproponowała mi wolontariat kabaretowy właśnie przy ►

► wspomnianym Stowarzyszeniu. I tak oto cztery lata temu wstąpiłam w zaszczytne szeregi pakowskich wolontariuszy, wchodząc tym samym w świat kabaretu.

## ▪ Brzmi jak zrządzenie losu...

– Bo tak właśnie było! Powtarzam to wielokrotnie: nie dzieje się w życiu przez przypadek, wszystko bywa zaplanowane gdzieś tam na górze. Jak bowiem wytłumaczyć fakt, że rekruterka zaproponowała mi wolontariat, jeśli nie miała w zwyczaju tego praktykować? To było mi pisane, ale musiałam się w sobie zawziąć i mądrze działać, reszta potoczyła się już z górki. Marzenia się naprawdę spełniają...

## ▪ Jak się czułaś, gdy już byłaś po tej drugiej, wymarzonej stronie?

– Świat kabaretu był i nadal jest dla mnie, pod wieloma względami, niesamowity. Po pierwsze, mogłam przebywać wśród kabareciarzy, których wcześniej znałam wyłącznie z telewizji i krótkich rozmów podczas zdjęć czy rozdawania autografów. Po drugie, w końcu spotkałam fantastycznych ludzi, którzy dzielili moją miłość do kabaretu, niektórzy nawet byli bardziej zfixsowani ode mnie! Co szczególnie mnie dziwiło, to to, że można być bardziej zakręconym na punkcie kabaretu niż ja. Po trzecie, niekończąca się liczba imprez kabaretowych, solowych występów czy kilkudniowych festiwali, takich jak PAKA czy ImproFest. Czułam się po prostu wspaniale, bo przecież niecodziennie spełniają się marzenia człowieka...

## ▪ Dalej należysz do grona wolontariuszy?

– Owszem, gdy tylko mój harmonogram występów na to pozwala, a zazwyczaj tak jest, to supportuję organizowane przez nas kabaretowe występy.

## ▪ Jak udaje ci się łączyć te dwie funkcje?

– Dajmy na to, że występ mam zaplanowany na godzinę 20, więc tak do 19–19.30 występuję w roli zwykłego wolontariusza, chociaż od pewnego czasu już nie takiego zwykłego, gdyż jestem rozpoznawalna...

## ▪ Niezwykłego wolontariusza...

– To ty powiedziałaś... (*śmiech*) No więc jestem sobie tym zwykłym, niezwykłym wolontariuszem, przychodzi czas występu, wchodzę na scenę, robię swoje, zamykam, schodzę i zasiadam wygodnie na widowni, wcielając się tym razem w rolę widza. Bo ja jestem kobieta pracująca, żadnej pracy się nie boję!

## ▪ To ciebie szukali podczas tegorocznej Płockiej Nocy Kabaretowej!

– Tak, i nie znaleźli, bo byłam w domu. Gdyby mnie zaprosili, toby tyle nie szukali.

## ▪ Kończąc już temat kabaretu... Czym on dla ciebie jest?

– Odszkodź od dnia codziennego, innym wymiarem, który pozwala mi się odstresować i oderwać od problemów dnia codziennego.

## ▪ A jakie to problemy ma taka gwiazda?

– A wiesz, jak każdy zwykły człowiek: na obiad sushi czy owoce morza, włożyć sukienkę od Coco Chanel czy Prady. Ot, zwykłe problemy dnia codziennego.

## ▪ Wiemy już, jak rozpoczęła się twoja przygoda z kabaretem. A jak to się stało, że zostałam gwiazdą?

– Raczej Gwiazdą Bez Przesady... Stało się to na 32. Pace w 2016 roku, kiedy to byłam jeszcze zwykłą wolontariuszką. Producent festiwalu pilnie potrzebował kogoś do pozamiatania sceny. I znów „jakimś” nieoczekiwanym zbiegiem okoliczności trafiło na mnie. Poszłam zamiatać scenę i się zaczęło... Sława, blichtr i pieniądze...

## ▪ Po prostu wyszłaś i podbiłaś serca widzów?

– Tak właśnie było! Trochę zasługi miał w tym konferansjer Tomasz Jachimek, który od tego momentu bywa nazywany moim *scenicznym tatusiem*.

## ▪ Nie bądź taka tajemnicza, nie daj się prosić, zdradź nam coś więcej!

– No dobrze... Z przyjemnością to zrobię! Wyszłam na scenę, cała zestresowana, bo nie wiedziałam, czego mam się spodziewać. Zresztą wyjść i pozamiatać to żaden problem, ale zrób to przed prawie sześciusetosobową publicznością. Nie było to zadanie łatwe, zwłaszcza że konfetti, które wcześniejszy kabaret rozsypał, nie chciały się wcale zamiatać. Dlatego też znacznie dłużej byłam na scenie, niż pierwotnie zakładałam. W pewnym momencie Tomek Jachimek zauważył, że nie jest na niej sam, i podchodząc do mnie, zapytał, jak mam na imię...

## ▪ I tu padły te słynne słowa...

– Tak! Chcąc wyjść na osobę skromną, bez namysłu odpowiedziałam: BEZ PRZESADY! Mając oczywiście na myśli to, że ja tu nie jestem nikim ważnym, tylko zamiatać, więc nie zasługuję na uwagę.

▪ **Konferansjer był innego zdania...**

– Tomek natychmiast to podchwycił, obrócił sytuację w żart, śmiali się wszyscy, łącznie ze mną i nim. W tym momencie pierwszy raz mocniej zabiło mi serce, tak jakby chciało mi powiedzieć, że właśnie tu jest moje miejsce, że mogę być stworzona do rozśmieszania ludzi.

▪ **Na jednym wyjściu z miotłą się nie skończyło...**

– Jak już wspomniałam, konfetti strasznie źle się zamykały, producent nie krył niezadowolenia, że scena dalej była w opłakanym stanie, więc wyszłam drugi raz i ku mojemu zdziwieniu ludzie, gdy mnie tylko zobaczyli, ponownie zaczęli się śmiać. To samo było przy trzecim i czwartym wyjściu. Wtedy wiedziałam, że to jest to, co chciałam robić. Rozśmieszanie ludzi to moje powołanie!

▪ **A jak na ową sytuację zareagował konferansjer? W kulisach mówiło się, że wykonałaś publiczny „roast konferansjera”.**

– Tomek jako osoba pracująca w kabarecie od lat ma dystans do siebie, tak więc absolutnie nie był na mnie zły. Rozmawiałam z nim zaraz po tym zdarzeniu, przepraszając, że nie chciałam go urazić, ale był zadowolony, mówił, że wszystko jest w porządku i fajnie to wyszło. Od tego momentu – jak wspominałam – nazywam go ojcem mojej kariery, a on mówi na mnie po prostu *sceniczna córka*.

▪ **Jak po tym nieoczekiwanym debiucie potoczyła się twoja kariera?**

– Błyskawicznie. Myślałam, że ludzie szybko zapomną o tym incydencie, ale było wręcz odwrotnie. Po skończonych występach przychodzili do mnie i gratulowali udanego pokazania się. Przyjaciółka podchwyciła temat, założyła mi fanpage’a na Facebooku, który w szybkim czasie osiągnął liczbę 160 like’ów! Wtedy uświadomiłam sobie, że to nie była jednorazowa przygoda.

▪ **I nie była. Rok później, czyli podczas tegorocznej Paki, wystąpiłaś w duecie z Tomaszem Jachimkiem, w roli jego asystentki. Jak się w niej czułaś?**

– Wspaniale! Ludzie ponownie żywo reagowali na moje przytyki i dopowiadania. Z późniejszych opowieści wiem, że wyszło świetnie, z czego się niesamowicie cieszę. Kolejny raz utwierdziłam się w przekonaniu, że to jest to, co chcę robić.

▪ **Zagadnęłam twoich fanów na Facebooku, o co chcieliby cię zapytać. Domyślasz się, jakie mogły paść propozycje?**

– Pewnie o miotły, ludzie są ich najbardziej ciekawi (*śmiech*).

▪ **Zgadłaś! Twoi fani najczęściej pytali o sprzęt, który wykorzystujesz podczas występów. A pytanie, które najbardziej utknęło mi w pamięci, było takie: „Czy nie boisz się, że roboty sprzątające, reklamowane przez Perfekcyjną Panią Domu, utrudnią rozwój twojej kariery?”.**

– Ależ skąd! Żaden unowocześniony sprzęt nie zastąpi mojego zwykłego zamykania! Ręczne miotły są ponadczasowe, a żywy człowiek zawsze lepszy niż kupa żelastwa, nawet nowoczesnego...

Rozmawiała  
ANETA TABISZEWSKA

Fot. Beata Bogdanowicz





# Kosmiczna przygoda ALL-NEW X-MEN i Strażników Galaktyki



**Może nie jest to komiks na miarę przepełnionych szalonymi zwrotami akcji pierwszych tomów obu serii, jednak walka o życie nastoletniej Jean Grey oraz relacje łączące bohaterów powinny częściowo zrekomensować wszelkie braki.**

Członkowie All-New X-Men nie mogą zaznać spokoju. Całkiem niedawno podczas *Bitwy Atomu* zmierzyli się ze

złymi mutantami, którzy przybyli z przyszłości i starali się odesłać naszych bohaterów do ich czasów.

Na drodze młodych herosów stanęli również fanatycy religijni mordujący przedstawicieli rasy *homo superior* w imię Boga.

Kolejne zagrożenie przyszło szybko i niespodziewanie. Kallark z kosmicznego Imperium Shi'ar porwał nastoletnią Jean Grey, aby osądzić ją za zbrodnie, które w przeszłości popełniła jej nieżyjąca już, owdądnęta mocą Phoenixa starsza wersja. I chociaż młodzi X-Men przegrali walkę w obronie swej przyjaciółki, na ich drodze stanęli bardzo niezwykli sojusznicy – Strażnicy Galaktyki.

Fabula *All-New X-Men: Tak inni* oraz *Guardians of the Galaxy (Strażnicy Galaktyki): Nieskończoność* pozostawiała wiele do życzenia. Scenarzysta obu serii, **BRIAN MICHAEL BENDIS**, najprawdopodobniej wyczerpał już wszelkie ciekawe pomysły na kontynuowanie przygód swoich bohaterów, w wyniku czego poziom nudy wypływającej z kart komiksów zaczął sięgać zenitu.

Dlatego decyzja o stworzeniu crossoveru opowiadającego o wspólnych przygodach X-Men z przeszłości oraz „kosmicznych Avengers” okazała się dobrym posunięciem.

Sam pomysł, aby sądzić niewinną Jean Grey za błędy, których *de facto* nie popełniła, jest idiotyczny (co kilkakrotnie podkreślają niektóre postaci). Jednak jeśli przymknijemy na oko i oddamy się lekturze, otrzymamy sztandarowy przykład komiksu superbohaterskiego, przepełnionego akcją, walkami oraz humorem.

Jest to bardzo dobra rekompensata po poprzednich, słabszych odsłonach obu serii.

Ciekawie wypadają również interakcje między X-Men w składzie: Cyclops, Beast, Iceman, Angel, Marvel Girl, X-23 oraz Kitty Pryde a Strażnikami reprezentowanymi przez Star-

-Lorda, Gamorę, Draxa, Groota, Rocketa i Angelę. Sytuacja, w której znajdują się oba zespoły, wydaje się dość nietypowa. Młodym mutantom trudno jest zrozumieć coś tak prostego jak podróże kosmiczne na gigantycznych statkach, o istnieniu pozaziemskich ras nie wspominając. Tymczasem wprawieni w bojach, samozwańcy obrońcy galaktyki muszą się nauczyć współpracy z bandą nieopierzonych dzieciaków. Prowadzi to do wielu komicznych dialogów.

Warstwa graficzna nie budzi żadnych zastrzeżeń. Sara Pichelli, Stuart Immonen oraz David Marquez pracowali przy poprzednich częściach obu serii, w wyniku czego ilustracje zaprezentowane w recenzowanym komiksie zarówno pod względem stylu, jak i wykonania nie różnią się zasadniczo od wcześniejszych prac przywołanych artystów. Rysunki, żywe, dokładne, niekiedy dość szczegółowe, przykuwają wzrok, nie rażą przesadnymi deformacjami projektów postaci oraz uproszczeniami.

Poziom rodzimego wydania nie uległ żadnym zmianom. Polski oddział Egmontu dawno wypracował standardy, którym pozostaje wierny. Komiks ma miękką okładkę ze skrzydełkami i wydrukowany został na kredowym papierze. Jak zawsze nie zabrakło w nim galerii alternatywnych ilustracji okładowych z amerykańskiej wersji zeszytowej oraz reklam innych publikacji Egmontu. Przydatny dodatek dla osób nieznających historii Jean Grey powinno stanowić posłowie autorstwa Kamila Śmiałkowskiego, w którym streszczone zostały jej losy.

Jeśli solowe przygody All-New X-Men oraz Strażników Galaktyki zaczęły kogoś nudzić, to lektura *Guardians of the Galaxy (Strażnicy Galaktyki)/All-New X-Men: Proces Jean Grey* będzie bardzo miłą odmianą. Może nie jest to komiks na miarę przepełnionych szalonymi zwrotami akcji pierwszych tomów obu serii, jednak walka o życie nastoletniej Jean Grey oraz relacje łączące bohaterów powinny częściowo zrekomensować wszelkie braki.

Osobom niezaznajomionym z poprzednimi częściami odradzam rzecz jasną sięgania po tę pozycję. Bez ich znajomości zwyczajnie jej nie zrozumieją.

MARCIN CHUDOBA

Brian Michael Bendis, Sara Pichelli, Stuart Immonen, David Marquez, *Guardians of the Galaxy (Strażnicy Galaktyki)/All-New X-Men: Proces Jean Grey* [Guardians of the Galaxy/All-New X-Men: The Trial of Jean Grey]. Przekł. Paulina Braiter, Tomasz Sidorkiewicz, Warszawa: Egmont Polska 2017. ISBN: 978-83-281-1945-1. Liczba stron: 144.

Australijski pisarz **MARKUS ZUSAK** z humorem tworzy w „**Złodziejce książek**” pogodny obraz Śmierci, pozwalający współczesnemu czytelnikowi spojrzeć na nią bez lęku, uwierzyć, że ktoś naprawdę ukołysze jego duszę

RECENZJE

# Najpierw kolory. Potem ludzie.

**„Złodziejka książek” MARKUSA ZUSAKA pochłonęła mnie bez reszty. Prawie 400 stron przeczytałam w jeden dzień. O wyjątkowości utworu australijskiego pisarza decydują niepowtarzalni bohaterowie z jedynym w swoim rodzaju narratorem... Śmiercią.**

Wybór opowiadacza nie z tego świata pozwolił autorowi stworzyć niebanalną narrację. Śmierć (w powieści słowo to występuje w rodzaju męskim) wypowiada się niekiedy w pierwszej osobie jako uczestnik bądź obserwator zdarzeń, innym razem pełni funkcję trzecioosobowego narratora wszechwiedzącego, udającego przed czytelnikiem posiadanie ograniczonej wiedzy.

Raz Śmierć skupia na sobie całą uwagę odbiorcy, by za chwilę się usunąć i z wyczuciem psychologicznym przedstawić przebieg akcji z perspektywy nastoletniej dziewczynki lub wniknąć w psychikę Żyda, zamieszczając oniryczny opis pojedynku Maxa z Hitlerem. Śmierć – jako istota nieśmiertelna – był też świadkiem odległych w czasie wydarzeń, których wspomnianie nadaje narracji charakter retrospekcyjny.

Podmiot mówiący przedstawia się już na pierwszych stronach książki, jak gdyby świadomy tego, że budzi strach przez samo swe istnienie. Zwraca się do czytelników słowami: *Na pewno umrzecie* i trafnie opisuje ich reakcje po usłyszeniu owych słów.

Australijski pisarz tworzy wizerunek Śmierci bliższy człowiekowi, niżby się można było spodziewać. Podobnie jak w średniowiecznym *danse macabre*, kostucha, u Zusaka przedstawiona w sposób humorystyczny, stworzona na podobieństwo człowieka, płąsa na obrazach z przedstawicielami wszystkich warstw społecznych. Obie te kreacje mają na celu oswojenie odbiorcy z wizją umierania i ośmieszenie postaci z trupią twarzą i kosą (Śmierć Zusaka wolałby trzymać miotłę lub mop).

Od pierwszych stron Śmierć zyskuje sympatię czytelnika. Zapowiada, że kiedyś spotka się z każdym z nas, i radzi, żeby się nie bać. Gdy przyjdzie ów moment, lekko ukołysze nasze dusze. Przenoszenie zmarłych do innego świata traktuje jako pracę, od której nie ma odpoczynku, gdyż nikt by go nie zastąpił, gdyby pojechał na wakacje. Zapewnia, że do kwestii umierania stara się podchodzić pogodnie, choć ludzie zdają się tego nie dostrzegać.

Potrafi być wesoły i sympatyczny. *Tylko nie proście mnie, żebym był miły. Ta cecha nie ma ze mną nic wspólnego* – zaznacza. Jak sam mówi o sobie – ma serce. Bywa nastawiony do ludzi pozytywnie i czasami nie może znieść, że tak bezsensownie umierają. Żal mu osób, po które przychodzi, lecz jeszcze bardziej zostających po śmierci bliskich *resztek ludzkich*.

By nie musiał o nich myśleć, obserwuje barwy. *Najpierw kolory. Potem ludzie. Tak to widzę* – opowiada. Obserwowanie aury wokół umierającego pozostaje jedynym zajęciem pomagającym mu się zdystansować do tego, co zaraz nastąpi. Najbardziej lubi niebo koloru gorzkiej czekolady. *Ludzie mówią, że ta barwa do mnie pasuje* – tłumaczy.

Grę kolorów Zusak po mistrzowsku wykorzystuje w powieści. Widziane przez narratora barwy budują nastrój i podkreślają przeżycia bohaterów. Opisuując obraz ulicy po bombardowaniu, Śmierć posługuje się krzykliwą czerwienią mieszącą się z szarością i czernią wzbijającego się dymu. Autorowi najwyraźniej zależało na tym, by czytelnik dostrzegł symbolikę wykorzystywanych w narracji kolorów.

Tytułowa złodziejka książek kojarzy się Śmierci z trzema barwami: czerwoną, białą i czarną, występującymi na fładze hitlerowskiej. Zusak mocno to podkreśla przez umieszczenie pod nazwami kolorów prostokąta, koła i swastyki.

Wydaje się, że autor nieprzypadkowo przypisał Śmierci kolor gorzkiej czekolady. Barwa ta budzi szereg skojarzeń zmysłowych – wzrokowych, smakowych i węchowych. Jest jakby określeniem zastępczym czerni, bliższym człowiekowi, pozwalającym na połączenie koloru z czymś miłym i dobrze znanym..

Te i inne zabiegi literackie czynią język „Złodziejki...” plastycznym i obrazowym, bogatym w poetyckie porównania. Zusak wykorzystuje swój pisarski warsztat do tworzenia wartkiej akcji, trzymającej w napięciu, ale także wyciskającej łzy wzruszenia.

Już w pierwszym rozdziale narrator zdradza, że jego opowieść dotyczy dziewczynki, pewnej liczby słów, akordeonisty, niemieckich fanatyków, żydowskiego boksera i licznych kradzieży. Zaznacza, że nie jest to historia skomplikowana. Autor w przejmujący sposób opisuje na przykład losy nastoletniej Liesel, oddanej na wychowanie niemieckiemu małżeństwu Rosie i Hansowi Hubermannom.

- Bohaterowie stworzeni przez Zusaka są niepowtarzalni. Główna bohaterka przywłaszcza sobie cudze książki, choć z początku nie potrafi ich czytać. Gdy zaczyna naukę, radości nie sprawia jej treść, ale same słowa. Wyciąga zakazaną książkę z płonącego stosu, powodowana samą chęcią jej posiadania.

Ze Śmiercią spotyka się trzykrotnie. Za trzecim razem narrator wchodzi w posiadanie jej książki i właśnie dlatego dziewczynka staje mu się tak bliska.

Jej przyjaciel, Rudy, choć wiecznie głodny, pochodzący z ubogiej rodziny, potrafi się narażać, broniąc słabszego kolegi z Hitlerjugend czy – żyjąc w nazistowskich Niemczech – marzyć o byciu jak czarnoskóry Jess Owens. Podziw budzi również Hans Hubermann, który mimo przeszkód pomaga Żydom, zwleka z zapisaniem się do NSDAP, a przy tym aż dwa razy wymyka się Śmierci.

Ważną dla utworu postacią pozostaje Żyd Max, który mieszka w piwnicy Hubermannów i śni na jawie o pojedynku z Hitlerem.

Nie można także zapomnieć o Rosie, przyszywanej matce Liesel, której upór, hardość i siła charakteru przywodzą na myśl Marylę z „Ani z Zielonego Wzgórza”.

Relacjonowanie zdarzeń z perspektywy nastolatki pozwala na ukazanie wojny oczami osoby młodej. Drastycznych scen znajdziemy tu wyłącznie tyle, ile potrzeba do zawiązania akcji i przedstawienia sytuacji bohaterów powieści. Narrator nie przywiązuje wagi do niczego, co postaci bezpośrednio nie dotyczy. Wymieniając w początkowym rozdziale składniki opowiadanej historii, nie wspomina o Żydach, Holocauście, wojnie, lecz jedynie napomyka o niemieckich fanatykach i żydowskim bokserze.

Marsze Żydów do Dachau czy *droga żółtych gwiazd* długo stanowią jedynie tło historii. Zmienia się to dopiero wtedy, gdy do prowadzonych na śmierć dołącza Max. Przez większość czasu uwagę Liesel zajmują zdobywanie książek, jabłek, cukierków, gra w piłkę z rówieśnikami i nauka czytania. Wie, że mieszkanie Maxa w domu Hubermannów musi pozostać tajemnicą, lecz troszczy się o Żyda na swój sposób, opowiadając mu, jaka jest pogoda, i uciekając się do dziecięcego podstępu, by bez budzenia podejrzeń poinformować rodzinę o kontroli piwnic. Próbuje dać Maxowi namiastkę normalnego życia. To nie Liesel, ale dorośli martwią się tym, co można zrobić z żydowskim trupem.

Ujęcie problemu Holocaustu przez Zusaka odbiega od narracji w opowiadaniach Hanny Krall. Tam dominują obrazy wyniszczonych, biernych, idących na bezsensowną śmierć Żydów, u australijskiego autora na pierwszy plan wysuwają się postacie żydowskiego pochodzenia: ratujący Hansowi życie Erik Vandenburg i jego syn Max.

Mnogość i rodzaje poruszanych kwestii, a także narracja z różnych perspektyw czynią powieść „Złodziejka

książek” ponadczasową, trafiającą do czytelników z różnych grup wiekowych. Wzrusza fragment, w którym Rudy wchodzi do zimnej wody za książką Liesel, lub moment, gdy dzieci liżą na zmianę jeden cukierek. Budzi podziw postawa Erika ratującego Hansowi życie, później Hubermannów udzielających Maxowi schronienia, a następnie tegoż Żyda, opuszczającego bezpieczną kryjówkę, by nie sprowadzić na wybawców niebezpieczeństwa.

Zastanawia zachowanie Ilsy Hermann, która pozostawia nastoletniej złodziejce otwarte okno w bibliotece. Przyjaźń łączy również Liesel i papę Hansa Hubermannna.

Czytając o życiu Hubermannów, można usłyszeć spokojne dźwięki akordeonu Hansa, mieszające się z przekleństwami Rosy, wkradającymi się jak zgrzytliwe akordy do muzyki tworzonej przez papę dla przyszywanej córki. Autor wykorzystuje również eksponowany mocno już w średniowieczu motyw matki bolejącej nad stratą dziecka. Z wycuciem psychologicznym tworzy postać pogrążonej w żałobie Ilsy Hermann, która nawet latem modli się, żeby padał deszcz.

Ponadczasowym tematem pozostaje, co chyba najbardziej oczywiste, śmierć – strach przed umieraniem, oswajanie się z myślą o odejściu, żałoba po stracie bliskich i zastanawianie się, co potem.

Zusak z humorem tworzy pogodny obraz Śmierci, pozwalający współczesnemu czytelnikowi spojrzeć na nią bez lęku, uwierzyć, że ktoś naprawdę ukołysze jego duszę. Złożona przez narratora obietnica *Poznać mnie dobrze i dostatecznie szybko, w zależności od różnorodnych czynników* jeszcze nigdy nie była tak wiążąca.

Powieść „Złodziejka książek” wryła mi się w pamięć głównie ze względu na budzącego ciekawość narratora, ale stała się bliska memu sercu również dzięki plastycznemu opisom, poetyckim porównaniom i zręczności stylistycznej autora. Polecam ją wszystkim, którzy poszukują w lekturze czegoś więcej niż wyłącznie oparte na schematach opowieści.

MAGDALENA FIBA



Markus Zusak „Złodziejka książek” (ang. *The Book Thief*)  
Tłumaczenie: Hanna Baltyń-Karpińska  
Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”  
Kategoria: literatura współczesna  
Rok wydania: 2014  
ISBN: 9788310126450



**HANNA KRALL** nie skupia się wyłącznie na wydarzeniach Holocaustu, ale „Jak fotograf wydobywa jakiś drobiazg na pierwszy plan, a tło pozostawia w nieostrości, tak ona w jednym akapicie uwypukla coś, co inni może by zbagatelizowali”

(Mariusz Szczygieł)

RECENZJE

## Odarta z mitów pamięć o walkach w getcie warszawskim

**W tym roku minęły 74 lata od wybuchu powstania w getcie warszawskim. W 1943 roku żydowskie organizacje podziemne wystąpiły zbrojnie przeciwko Niemcom. Bezpośrednią przyczyną tego wydarzenia była decyzja hitlerowców o likwidacji getta warszawskiego w ramach planu zagłady Żydów.**

Ze względu na znaczną przewagę militarną Niemców powstanie pod wodzą Mordechaja Anielewicza i Marka Edelmanna od początku było skazane na klęskę. Powstańcy zdawali sobie sprawę z tego, że ich śmierć się zbliża, jednak woleli zachować honor i umrzeć godnie z bronią w ręku, niż biernie patrzeć na poczynania oprawców.

Słabo przygotowani i uzbrojeni powstańcy początkowo skutecznie stawiali opór wkraczającym do getta oddziałom. Jednak po kilku dniach walki przerodziły się w obronę pojedynczych miejsc. Żydzi bronili się w domach i bunkrach. Niektórzy, chcąc ukrócić sobie cierpienia, widząc bezsens walki, popełniali samobójstwo. Ocalałe grupki walczących przetrwały w ruinach getta do połowy lipca.

Powstanie zakończyło się 16 maja wysadzeniem w powietrze Wielkiej Synagogi przy ulicy Tomackiej. Powstańcy wzięci do niewoli zostali wywiezieni do obozów i wymordowani. Tym sposobem Niemcy dokonali ostatecznej, masowej eksterminacji ludności żydowskiej. O tych dramatycznych wydarzeniach, a nawet ich ofiarach zapominamy nawet przy okazji rocznic.

Są jednak pisarze, którzy doceniają poświęcenie tych ludzi i w swoich pracach poruszają tematykę Holocaustu. Do grona takich autorów niewątpliwie należy **HANNA KRALL**.

W marcu bieżącego roku ukazała się najnowsza książka tej dziennikarki. Publikacja pod znamienitym tytułem „**Fantom bólu**” została wydana przez krakowskie Wydawnictwo Literackie. 1224 strony stanowią swoisty zbiór wszystkich reportaży Hanny Krall, do których należą: „Zdążyć przed Panem Bogiem”,

„Sublokatorka”, „Okna”, „Hipnoza”, „Taniec na cudzym weselu”, „Dowody na istnienie”, „Tam już nie ma żadnej rzeki”, „To ty jesteś Daniel”, „Wyjątkowo długa linia”, „Król kier znów na wylocie”, „Różowe strusie pióra” oraz nigdy wcześniej niepublikowana opowieść „Biała Maria”, poszerzona o nową część – „Podwójne życie Władysława Sokoła”, która stała się dodatkiem do tego wydania.

We wszystkich reportażach autorka ocala od zapomnienia nie tylko ludzi, ale też pojedyncze sytuacje, zachowania, gesty. Znamienite jest to, że Krall opiera swą relację wyłącznie na rozmowach z uczestnikami, przez co przybliża odbiorcy codzienność zagłady i pokazuje, z jakim losem musiała się borykać ludność żydowska.

Sam Mariusz Szczygieł we wstępie zamieszczonym na początku publikacji podkreśla, że Hanna Krall nie skupia się wyłącznie na wydarzeniach Holocaustu, ale podkreśla istotne szczegóły: „Jak fotograf wydobywa jakiś drobiazg na pierwszy plan, a tło pozostawia w nieostrości, tak ona w jednym akapicie uwypukla coś, co inni może by zbagatelizowali. Krall jest też odważna. W przegranym świecie proponuje małomówność”.

Zwraca również uwagę na fakt, do czego człowiek może się posunąć, kiedy przyjdzie mu się znaleźć w sytuacji zagrażającej życiu. Jak wytłumaczyć zachowanie pielęgniarki podającej dziecku truciznę, by w ten brutalny sposób ratować je od komory gazowej? Każdy sposób umierania wydawał się lepszy od śmierci oferowanej przez oprawcę.

Na szczególną uwagę zasługuje najślawniejszy (wzniesiony po wielu latach) reportaż Hanny Krall „Zdążyć przed Panem Bogiem”.

Po raz pierwszy w formie książkowej ukazał się dokładnie 40 lat temu w Krakowie nakładem Wydawnictwa Literackiego. Od tamtego czasu cieszy się nieustającym zainteresowaniem czytelników. Dzieło zostało przetłumaczone na wiele języków, co świadczy o tym, że jest cenione nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie.

21



„Zdążyć przed Panem Bogiem” to zapis rozmów, jakie Hanna Krall prowadziła przez trzy miesiące z Markiem Edelmanem – lekarzem, ostatnim żyjącym przywódcą powstania w getcie warszawskim, a tym samym zastępcą głównego komendanta Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Reportaż ma ciekawą konstrukcję. To mieszana technika narracyjna (oszczędne partie rozmowy z Edelmanem łączą się z rozbudowanymi partiami monologowymi) i wydodrębnione dwa plany czasowe (pierwszy obejmuje wydarzenia związane z wybuchem, przebiegiem i stłumieniem powstania w getcie warszawskim, drugi z kolei to lata powojenne).

Czytelnik może mieć problem z nieco chaotyczną chronologią, zaburzoną przez trudne wspomnienia osoby, która przeżyła czasy Holocaustu. Marek Edelman niczego nie wyolbrzymia. Wręcz przeciwnie – odziera z mitów pamięć o walkach w getcie warszawskim. Ukazuje jedynie prawdziwe motywy postępowania ludzi.

Nie określa walczących mianem *bohaterów*, ale wskazuje na różne ich wady i czasem niemoralne czyny, których się dopuszczali. Jest przy tym całkowicie naturalny, skromny, krytyczny. Sam mówi o sobie, że lekarzem został po to, by móc w ten sposób odkupić swe liczne przewinienia, które popełnił podczas wojny.

Tylko czy z samym Bogiem da się wygrać wyścig o ludzkie życie?

To skłania do głębokiej refleksji. Dzięki takiej szczerzej relacji czytelnikowi łatwiej jest się utożsamić z ludźmi biorącymi udział w powstaniu w getcie warszawskim. Stają się nam po prostu bliscy.

Publikacje te nie mają ilustracji. Ich szata graficzna jest niezwykle skromna, ponieważ nawet okładki zarówno „Fantomu bólu”, jak i niewielkich rozmiarów książki zawierającej tylko reportaże „Zdążyć przed Panem Bogiem” nie wyróżniają się na tle innych publikacji o podobnej tematyce. Być może jest to celowe, ponieważ owe książki nie mają się wyłącznie podobać, ale poruszać treścią.

Reportaż Hanny Krall „Zdążyć przed Panem Bogiem” wchodzący w skład zbioru „Fantom bólu” niewątpliwie każdego skłania do refleksji. Nieco chaotyczna treść zawiera nie tylko bolesne wspomnienia uczestnika powstania, ale ukazuje go również jako człowieka nie do końca pokrzywdzonego, który podczas wojny również czynił zło, by jakoś żyć w warunkach obozowych.

Mimo to Marek Edelman jako bohater reportażu wzbudza sympatię i współczucie. Jego zwierzenia czytelnik z zapartym tchem. W reportażu niejednokrotnie pojawiają się miejsca trudne do odbioru, skłaniające do głębokiej refleksji. Czasami warto odłożyć książkę i wrócić do niej po jakimś czasie. Obok tego tekstu nie da się przejść obojętnie.

EWELINA MADEJ

Hanna Krall  
„Fantom bólu. Reportaże wszystkie”  
Wydawca: Wydawnictwo Literackie, Kraków  
Wyd. I  
Data premiery: 30 marca 2017 r.  
Kategoria: reportaże  
Liczba stron: 1224.  
ISBN: 978-83-08-06318-7

# Książka, której nie napisał AUTOR...

Kto chce się nauczyć od **RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO**, jakim być człowiekiem, by stać się prawdziwym dziennikarzem, poznać świat, w którym przyjdzie mu pracować, i przy okazji dowiedzieć się kilku szczegółów z życia najślawniejszego polskiego reportera, powinien śmiało sięgnąć po „**To nie jest zawód dla cyników**”, wybacząc książce sposób, w jaki została napisana.

- **Jakie jest główne wyzwanie dziennikarza w nowej erze informacyjnej?**
- **Kim był Kwane Nkrumah?**
- **Dlaczego sen o niezależnej Afryce się nie ziścił?**
- **Jak wygląda praca między dwiema stronami toczącymi ze sobą wojnę?**

Na te i inne pytania można znaleźć odpowiedź w książce **RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO** „**To nie jest zawód dla cyników**”, której drugie wydanie ukazało się przed rokiem nakładem Domu Wydawniczego PWN.

240-stronicowa publikacja zawiera wykłady wygłoszone przez sławnego polskiego reportera dla latynoamerykańskich studentów podczas warsztatów w Buenos Aires, opatrzone tytułem *Pięć zmysłów dziennikarza*, a także jego rozmowy z Marią Nadotti, Andream Semplicim i Johnem Bergerem (*To nie jest zawód dla cyników*) pod redakcją włoskiej dziennikarki.

Teksty te zostały przetłumaczone z hiszpańskiego (przeł. Andrzej Flisek) i włoskiego (przeł. Magdalena Szymków) – aż do 2013 roku (wydanie pierwsze) nie ukazały się w Polsce.

Choć na okładce widnieje nazwisko Kapuścińskiego, książka opublikowana po śmierci reportera powstała dzięki pracy i zaangażowaniu wieloosobowego zespołu. Wykłady w *Pięciu zmysłach dziennikarza* zebrał Óscar Escamilla, Tomás Eloy Martínez stworzył ostateczną wersję redakcyjną, a przedmowę do wydania polskiego napisał Jaime Abello Banfi. Całość opatrzył posłowiem Adam Michnik.

Rozpoznawalność dziennikarza, jego odpowiedzialność i relacja z czytelnikiem to niektóre z ważniejszych tematów poruszanych przez Ryszarda Kapuścińskiego w *Pięciu zmysłach dziennikarza* – pierwszej części publikacji.

Polski wykładowca odstawia przed latynoamerykańskimi studentami reguły rządzące nowym dziennikarstwem. Ukazuje świat, w którym będą się musieli odnaleźć. Światem, w którym nad jednym newsem do CNN pracuje 30–40 osób, a wybrany przez nich zawód ma przyszłość, bo daje możliwość manipulacji opinią publiczną i pozwala tworzyć historię znaną większości społeczeństwa tylko z mediów.

Polega na pracy z ludźmi, a więc *najdelikatniejszą materią na świecie*. Wydrukowane na ich temat słowa będą im towarzyszyć do końca życia. Kto nie zdobędzie się na odwagę, by dzielić z bohaterami reportażu ich los, nie ma prawa o nich pisać. Wszystko trzeba przeżyć na własnej skórze, bo bez ryzyka nie ma dziennikarstwa. Tak jak bez nauki – ta w tym zawodzie nie kończy się nigdy.

Media stały się narzędziem zysku, *dawną etykę wyparły nowe reguły gry*. By pisać, (...) *należy prowadzić podwójne życie, żyć w stanie schizofrenii*, dla stworzenia jednej strony – przeczytać sto z innych książek, czasu wciąż jest za mało, do tego, (...) *jak zresztą w każdym innym zawodzie, trzeba robić to, co nam każe*.

Wydawać by się mogło, że liczba trudności w tym zawodzie powinna zniechęcać młodzież do jego wykonywania. Tymczasem powstaje coraz więcej szkół dziennikarskich, a prowadzone przez Kapuścińskiego Buenos Aires warsztaty cieszyły się ogromną popularnością.

Wzruszeni studenci, wdzięczni polskiemu reporterowi za przekazaną wiedzę, złożyli podpisy na jego podkoszulku, co relacjonuje we wstępie Óscar Escamilla. *Kapu – tak reportera nazywali latynoamerykańscy uczniowie – zdobył ich serca nie tylko wykładanym przedmiotem, ale również, a może przede wszystkim, osobowością*.

Escamilla wspomina spojrzenie polskiego reportera, *którym to spojrzeniem mógłby on przeniknąć pancerne drzwi* ►



► *sejfu. Uczestników spotkań lustrował z góry na dół i z dołu do góry niczym wytrawny agent lotniskowej ochrony, gdy zaś słyszał zajmującą historię, patrzył wzrokiem zachwyconego dziecka.*

Nie można się spodziewać niczego innego po człowieku, którego praca polegała na obserwacji i nawiązywaniu kontaktów.

Jako korespondent wojenny, pracował między dwoma skonfliktowanymi stronami, jako reporter, narażał życie, by poznać świat, dotrzeć do prawdy. O śmierć otarł się tyle razy, że odpowiadając na pytania uczestników – zamieszczone w publikacji po wykładach – mógł się pokusić o stwierdzenie, iż istnieją mechanizmy, które w chwili ostatecznej znieczulają od środka.

Nie trzeba jednak jechać na wojnę, by codziennie narażać się na niebezpieczeństwa, wykonywać rozkazy i odczuwać głód. Z wykładów bowiem wynika, że każdego dnia czytelnik oddaje decydujący głos o losie dziennikarza. Jednocześnie jedna praca jest niemiarodajna – wizerunek trudno więc zbudować, dużo łatwiej zaprzepaścić. Trzeba się troszczyć o zachowanie własnych zasad, wypełniając polecenia przełożonych.

Reportaż najlepiej więc tworzyć, gdy centrala nie wie, gdzie znajduje się reporter. Trzeba się ponadto pogodzić z tym, że pisanie to najmniej pracochłonna część naszej pracy, a (...) *każda książka jest porażką*. Dziennikarstwu towarzyszy niedosyt, gdyż ideał jest nieosiągalny. Gdy nie ma cenzury, można się wypowiadać na każdy temat – słowo jednak straciło swą dawną moc. Konkurencja w mediach sprawia, że reporterzy tropią sensację, dziennikarze poruszają się stadem, obserwując konkurentów, a każdy z nich musi być *klusownikiem we wszystkich dziedzinach nauki*.

Mamy więc we współczesnych mediach stado tropicieli i klusowników – jak w Afryce, której poświęcono wiele uwagi w rozmowie z Andree Semplicim, zatytułowaną *Historia, która się staje*, jedną z trzech zamieszczonych w drugiej części publikacji – *To nie jest zawód dla cyników*.

Kapuściński odpowiada w niej na pytania autora przewodników po Erytrei, Etiopii i Libii. Jaka była wtedy Afryka? Kim był Lumumba? O co toczą się wojny na Czarnym Lądzie? – pyta dziennikarz, a Kapuściński udziela wyczerpujących odpowiedzi.

Opowiada, dlaczego sytuacja w Kongu mogła doprowadzić do wybuchu III wojny światowej i czemu zamiast skupiać się na pięknie afrykańskiej przyrody, poświęca się problemom tamtejszej ludności.

Pozostałe dwie rozmowy przeprowadziła Maria Nadotti. W pierwszej, która odbyła się podczas konferencji w Capodarco di Fermo, Kapuściński innymi słowami przedstawia myśli wygłaszane podczas wykładów. Książkę zamyka zapis rozmowy polskiego reportera z angielskim pisarzem



i krytykiem sztuki Johnem Bergerem, prowadzoną przez Marię Nadotti w 1994 r. w Mediolanie.

Wywiad ukazuje podobieństwa i różnice w pracy tego, kto tworzy fikcję, z tym, kto przekazuje prawdę. Reporter, by pisać, potrzebuje ludzi, pisarz swój świat przedstawiony kreuje w samotności.

Przywiązany do prawdy, Kapuściński nie czułby się dobrze w powieści ani w żadnym innym gatunku fikcyjnym, co przyznaje, odpowiadając na pytania studentów. Wyjaśnia także związek swojej poezji z twórczością dziennikarską i tłumaczy, dlaczego *emocja jest siłą tekstu*. Wypowiada się na temat pracy dziennikarza w ekstremalnych warunkach oraz objaśnia, czemu najgroźniejszymi żołnierzami są dzieci. Tłumaczy wreszcie, dlaczego reporterską pracą nie mogą się parać cynicy.

*To nie jest zawód dla cyników* można uznać za rodzaj poradnika dla młodych dziennikarzy. Różni się jednak znacząco od *Dziennikarstwa od kuchni* pod redakcją Andrzeja Niczyperowicza, zawierającego instrukcje dotyczące pisania form dziennikarskich, spisane przez specjalistów od poszczególnych gatunków.

Pośmiertnie wydana książka Kapuścińskiego nie ma nic wspólnego z podręcznikiem o prawie prasowym, zasadach redagowania lidu czy pisania depeesz. Podejmuje głębsze tematy, może pomóc zweryfikować powołanie młodego dziennikarza, skłonić go do refleksji, czy chce być w 10 procentach zawodowcem poświęcających się temu zajęciu w całości, czy woli pracę z doskoku, opartą na czerpaniu wiadomości z internetu, bez tworzenia relacji z ludźmi – niemającą z prawdziwym dziennikarstwem nic wspólnego.

Książka różni się także od większości innych publikacji, na których okładkach widnieje nazwisko Kapuścińskiego jako autora.

*To nie jest zawód dla cyników* jest bowiem jednym z tekstów w rzeczy samej przez reportera nienapisanych. Jego wykłady spisał hiszpańskojęzyczny dziennikarz, którego tekst przetłumaczył polski translator.

Jeszcze więcej przekładów mają za sobą teksty rozmów redagowanych przez Marię Nadotti. Wędrownica słów Kapuścińskiego z dyktafonu na papier, a następnie przez kolejne przekłady sprawiła, że gdzieś zatracono język. Właśnie tego nie mogą twórcy książki wybaczyć...

Najbardziej żał mi wykładów. Kapuściński musiał mówić w obcym języku, przez co, jak sam przyznaje, nie zawsze był w stanie przekazać dokładnie to, co myślał. Jego słowa przelała na papier, po hiszpańsku, *Óscar Escamilla. Na ostateczną wersję redakcyjną w tym języku wpłynęła znów inna osoba* – Tomás Eloy Martínez.

Dopiero po tej długiej wędrówce tekst trafił do Andrzeja Fliska, który przetłumaczył go na polski. Twórcy książki musieli więc kilka razy pokonywać barierę językową.

Kapuściński z omawianej publikacji różni się więc znacząco od tego z *Imperium*. Jego wykłady zawierają mniej środków retorycznych niż reportaże. Charakterystyczne dla wygłaszania mowy trzykrotne powtórzenia, zdania paralelne, wyliczenia, wykrzyknienia, pytania retoryczne – oto Kapuściński w *Imperium*. Do tego liczne zwroty do odbiorcy w drugiej osobie liczby pojedynczej (*Najlepiej rób, co do ciebie należy*) czy podkreślanie łączności z czytelnikiem za pomocą pierwszej osoby liczby mnogiej (*zważmy jednak*).

Język wzbogacają kolokwializmy i porównania. Wykłady w *Pięciu zmysłach dziennikarza* brzmią jak czytane z kartki. Nie są całkiem pozbawione porównań, powtórzeń czy sentencji, ale brakuje im pewnej naturalnej gawędowości. Wykrzyknienia, wyliczenia, pytania retoryczne, zdania urwane – tym cechuje się wypowiedź zaangażowanego wykładowcy, a taki musiał być Kapuściński, skoro latynoamerykańscy studenci żegnali go ze łzami w oczach.

Wykłady w książce są poprawne pod względem stylistycznym, lecz tworzą je rozbudowane wypowiedzenia, większość podobnej długości, co sprawia, że czytanie w pewnym momencie staje się nużące. Może gdyby zapis wystąpienia reportera wzbogacono większą liczbą wyrażających zaangażowanie mówcy środków, a wywiady, w których wypowiedzi ciągną się nieraz przez trzy strony, zawierały pomiędzy nimi krótkie pytania i odpowiedzi dynamizujące tekst, książkę czytaliby z zainteresowaniem nie tylko wielbienie Kapuścińskiego czy adepci dziennikarstwa, ale też inni.

Tytuł całej publikacji – *To nie jest zawód dla cyników* – został wzięty z jej drugiej części, zawierającej rozmowy z reporterem. Pochodzi z ostatniego pytania zadanego mistrzowi przez studentów w *Pięciu zmysłach dziennikarza*. Tytuł spełnił swoje zadanie – zwrócił moją uwagę jako czytelniczki. Sprawił, że będąc uczestniczką kursu dziennikarskiego, wiążąc w jakiś sposób przyszłość z tym zawodem, spośród wielu książek Kapuścińskiego na półce w bibliotece wybrałam właśnie tę.

Mimo to jest coś, co mam tytułowi do zarzucenia. Sugeruje on, przynajmniej ja tak to odbieram, że druga część jest tą w publikacji ważniejszą – jak *Sklepy cynamonowe* są najślawniejszym opowiadaniem z tak zatytułowanego zbioru Brunona Schulza.

Tymczasem rozmowy prowadzone przez Marię Nadotti, zwłaszcza pierwsza, skłaniają Kapuścińskiego do powtórzenia myśli zawartych w wykładach. Czytając *Pięć zmysłów dziennikarza*, podkreślałam niektóre słowa, jak inni czytelnicy przede mną, i robiłam ołówkiem notatki. Druga część nie wniosła dla mnie nic nowego, może poza poruszającą temat afrykański rozmowę z Andree Semplicim.

W tekstach niezawierających śladów po ołówkach poprzedników nie znalazłam nic wartego odnotowania. Lektura mogłaby się dla mnie skończyć na *Pięciu zmysłach dziennikarza*, w których Kapuściński wyznaje, że nigdy nie przeprowadził prawdziwego reporterskiego wywiadu, opowiada o napisanych i nienapisanych fragmentach *Wojny futbolowej* i porusza temat globalizacji jako nowej utopii. Urzeczona otwartością, z jaką opisuje dziennikarski świat, miałabym prawdopodobnie tyle samo do powiedzenia, co po przeczytaniu całości publikacji.

Byłabym ponadto mniej znudzona długimi i monotonnymi wypowiedziami pisarzy, zwłaszcza na początku trzeciej rozmowy zatytułowanej *Opowieść o żąbku czosnku*.

Twórcy książki zrobili najprawdopodobniej wszystko, co mogli. Pozostaje mieć żal do mistrza reportażu, że jeszcze za życia, osobiście, nie zredagował takiej książki dla studentów w swoim kraju. Myślę jednak, że pochłonięty poruszaniem ludzkich problemów jako reporter, nie znalazłby czasu na samodzielne spisywanie swoich refleksji na temat wykonywanego zawodu. Zresztą byłaby to zapewne praca w czterech ścianach, której – jak wyznawał w wywiadach – bardzo nie lubił.

Forma, w jakiej otrzymaliśmy wykłady Kapuścińskiego, jest więc najprawdopodobniej jedyną możliwą. Tematu pracy dziennikarza nie poruszyłby reportaż – prawdziwy reporter pracuje dla innych, swojej pracy i trudowi w tworzeniu materiału nie może poświęcać zbyt wiele uwagi. Nie poruszyłaby go też poezja – w tej Kapuściński zamieszczał refleksje o świecie, życiu i ludzkiej egzystencji.

Kto chce się więc nauczyć od mistrza, jakim być człowiekiem, by stać się prawdziwym dziennikarzem, poznać świat, w którym przyjdzie mu pracować, i przy okazji dowiedzieć się kilku szczegółów z życia najślawniejszego polskiego reportera, powinien śmiało sięgnąć po książkę, wybacząc jej sposób, w jaki została napisana. Koniec końców nie jest on wystarczający jak na Kapuścińskiego, lecz dobry jak na tekst redagowany przez osoby trzecie, przy wielokrotnym pokonywaniu bariery językowej.

MAGDALENA FIBA

Ryszard Kapuściński  
„To nie jest zawód dla cyników”  
Wydawnictwo: Dom Wydawniczy PWN  
Rok wydania: 2016  
ISBN: 9788377059647  
Liczba stron: 240

Strumień świadomości jako wiarygodny zdrajca refleksji o podstawowych przeżyciach, doświadczeniach, emocjach, uczuciach i troskach człowieka w **„Traktacie o łuskaniu fasoli” WIESŁAWA MYŚLIWSKIEGO**

# Mądrość saksofonisty



**Dla wielu przedstawicieli młodego pokolenia Polaków WIESŁAW MYŚLIWSKI to jeden z głównych reprezentantów nurtu chłopskiego w polskiej literaturze powojennej. Młodzież często łączy przymiotnik chłopski z czymś, co budzi odrazę, a nawet zażenowanie. Młodzi twierdzą, że to kicz i obciach. Dlatego też automatycznie odrzucają twórczość Myśliwskiego, nie mając świadomości tego, z jak wielu mądrych słów rezygnują.**

Książka wydana w roku 2006 przez wydawnictwo „Znak” w szybkim czasie zyskała popularność. **„Traktat o łuskaniu fasoli”** opowiada historię życia starszego człowieka – saksofonisty. Pewnego dnia przychodzi do niego nieznany człowiek, który pyta o fasolę. Spotkanie przeradza się w intymną rozmowę, w czasie której obaj bohaterowie wspólnie łuskają tytułową roślinę.

Opowieść głównego bohatera jest niezwykle interesująca, intrygująca i wciągająca. Dotyczy niemal wszelkich możliwych tematów. Starszy pan porusza zarówno to, co prozaiczne, jak i sprawy egzystencjalne. Opowiada o życiu, śmierci, miłości, cierpieniu oraz rodzinie. Do swej opowieści wplata filozoficzne zagadnienia i pytania, na które nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Porusza tematykę sensu istnienia, wiary w Boga oraz w przeznaczenie, a także przewrotności losu i niejasności ludzkiego życia.

Jest to więc prawdziwy traktat poruszający wzniosłą tematykę. Fakt, że odbywa się w trakcie prozaicznej czynności, jaką jest łuskanie fasoli, nie ma w tym wypadku znaczenia.

Utwór zbudowany został na zasadzie monologu głównego bohatera. Nie jest to jednak monolog tradycyjny. Sposób, w jaki starszy pan się wypowiada i wyraża swoje przekonania, przywołuje stylistykę gawędy – stylu tak bliskiego Myśliwskiemu, do którego tenże autor sięga w wielu utworach.

Wspomnienia bohatera często są chaotyczne, przeplatane licznymi dygresjami i ciekawymi historiami. Dzięki temu czytelnik niemal do końca utworu nie zna pełnej historii bohatera. Jego zadaniem jest zbiera-



Fasola



Saksofon

nie elementów ciekawej opowieści o niezrozumiałych i nielogicznych kolejach losu oraz próba złożenia ich w spójną całość.

Wiele wątków z jego przeszłości na zawsze pozostanie tajemnicą, ponieważ stary saksofonista, umyślnie bądź nie, postanawia je przemilczeć.

Warto zaznaczyć, że język, jakim posługuje się główny bohater, nie jest wyrafinowany. Wręcz przeciwnie! Charakteryzuje go proste, niewyszukane słownictwo, podstawowa składnia wypowiedzi. A mimo to zdania wypowiedziane przez starszego pana kryją w sobie niemal niewyczerpane pokłady życiowej mądrości. Innej niż ta, którą można wyczytać z książek. Mądrość saksofonisty jest mądrością przeżytą, wypływającą z doświadczenia. Taką, którą zdobywa się przez cierpienie.

Czytając ten utwór, skupiając się na przeżyciach bohatera oraz snując refleksje dotyczące poruszanych przez niego tematów, odnosi się wrażenie, że czas stanął w miejscu. Nie tylko tam, gdzie toczy się akcja utworu, ale również u nas, czytelników. Gdziekolwiek jesteśmy: w wygodnym fotelu, zatłoczonym tramwaju, głośniejszej poczekalni, skupieni na opowieści saksofonisty, wyłączamy się z życia. Być może właśnie taki był zamysł autora. Może chodziło mu o chwilowe odseparowanie się od rzeczywistości i poświęcenie chwili na istotne przemyślenia?

Nagroda „Nike”, którą autor dostał za „Traktat o łuskaniu fasoli” w roku 2007, była w zupełności zasłużona. Ta książka należy do kręgu tych utworów, które czytelnik sobie dawkuje. Czyta ją i snuje refleksje, delektuje się nie tylko kolejną intrygującą sentencją, ale niemal każdym słowem.

Wielu czytelników celowo spowalnia proces czytania, by książka dłużej towarzyszyła ich życiu.

Jedno jest pewne: każdy, kto przeczyta ten utwór świadomie, nie przejdzie obok niego obojętnie. To książka zmuszająca do refleksji nad własną przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. „Traktat o łuskaniu fasoli” ma ogromną siłę sprawczą, gdyż wpływa na ludzkie życie i może być impulsem do podjęcia próby wprowadzenia w nie istotnych zmian.

MAGDALENA ŁUKASIK

Wiesław Myśliwski  
„Traktat o łuskaniu fasoli”  
Wydawnictwo: Znak  
Rok wydania: 2007  
Format: 140 x 205 mm  
Liczba stron: 400  
ISBN: 9788324008919  
Książka nagrodzona nagrodą literacką NIKE 2007



Książka „**Nakarmić kamień**” **BRONKI NOWICKIEJ** jednych trafi prosto w serce, a u innych może trafić w kamień, choć w to, że trafi, głęboko wierzę.

Książka może się nie podobać, ale jest bezsprzecznie piękna.

Piękna myślami i obrazami, po reżysersku pełna pięknych ujęć

# Nakarmić siebie

28

**Na przeczytanie „Nakarmić kamień” BRONKI NOWICKIEJ** miałam ochotę, odkąd strony gazet zeszłego października ogłaszały jej nagrodę literacką „Nike” 2016. Sięgnęłam po tę książkę jednak dopiero przypadkiem, głodna nowych wrażeń, choć zmylona jej recenzjami. I choć w moich zakupach znalazły się jeszcze Szymborska i Dickinson, to jednak Nowicką przeczytałam w ciągu dwóch kolejnych godzin, i to pod jej wrażeniem wciąż jestem.

Recenzję piszę po krakowskim spotkaniu z autorką. Tytuł nadany mu przez krytyczki literackie Wydziału Polonistyki UJ „Rzeczy podejrzenie” ujął samą autorkę. Jak zauważyła, rzeczy podglądamy, ale i podejrzewamy – dwuznaczność „podejrzenia” zawiera w sobie niejako wymiar widzenia, ale i myślenia.

Nowicka lubi w przedmioty zaglądać. Inspiracje do jej książki pochodzą z archiwum autorki, w którym od lat gromadzi przedmioty, ich ludzi i historie. W jej książce ludzie uobecniają się wśród rzeczy, a rzeczy zyskują język. Rzeczy nas konstytuują, ale i kontynuują, choć w słowach Nowickiej „tylko o kilka kroków”. W tym właśnie tkwi ich inherentny tragizm – one też umierają, wycierają się, niszczą. Leżą już „na terytorium wspomnień”, przestają być materialne.

Niewielka książeczka, jaką jest „Nakarmić kamień”, to debiut literacki Bronki Nowickiej, artystki interdyscyplinarnej. Jako absolwentka łódzkiej filmówki oraz krakowskiego ASP, opowiada także poprzez krótkie formy filmowe oraz zdjęcia. Jak sama mówi, nigdy nie przestanie być reżyserem, i opowiada o „montowaniu” książki z „modułów”. Konstruuje z nich książkę, „jak z klocków”, przeplata momenty cięższe lżejszymi.



„Nakarmić kamień” otwiera spis rzeczy. Do każdej rzeczy przynależy niedługi opis. Całość nie jest jednak rozwinętym spisem rzeczy. Prowadzą nas one przez historię i przeżycia bohaterki. Pośrednio dzięki nim poznajemy jej ból i cierpienie tak czyste, jakiego nie znają już dorośli. Znajdujemy też nadzieję, ale ta umiera dość wcześnie. Opisy te tylko pozornie odnoszą się do przedmiotów. Przez nie chwytają istoty rzeczy, jak przez ścierkę chwyta się gorący garnek.

Nowicka, jako reżyser, tytuł dzieła ustaliła na końcu. „Karmienie kamienia” jest metaforą, ale jednocześnie metaforą bardzo namacalną: dziecko chce nakarmić kamień, aby nie umarł. Karmi je zmysłami, odczuwa przez ten kamień i do niego, jednocześnie chcąc dostać od kamienia to, czego nie dostaje w świecie ożywionym, i zaspokoić nim swój emocjonalny głód. W niemożliwości tej relacji tkwi jednak terapeutyczna nadzieja – dostać to poczuć, a więc odkryć w sobie, choćby nawet za sprawą kamienia pod językiem.



Przeżycia jasno nazwane po dorosłemu brzmią dziecięco, bo prosto i szczerze. Są smutne, ale i dodające siły, odważne. Perspektywa dziecka, według autorki, miesza się z perspektywą dorosłego, przesuwając się jak po suwaku. Czy to dziecko mówi metaforami dorosłego, tak dojrzałymi, że aż zuchwałymi w swej prostocie? A może to dorosły opowiada doświadczeniami dziecka?

Dla mnie próba opisu tej, tak nieuchwytniej, perspektywy jest jeszcze bardziej skomplikowana. Przeskakuje niczym po obrysie trójkąta, w którym opowiadające dziecko, za sprawą języka dojrzałych i trafnych metafor, przypomina dorosłego, lecz jednocześnie w jego prostocie i naiwności doświadczeń powraca wprost do dzieciństwa.

A może toczy się po okręgu – osiągając dorosłość w bogactwie języka i świadomości wagi dziecięcych doświadczeń, zbliża się ponownie do uważności dziecka i trafności jego języka?

Te perspektywy dziecka i dorosłego są w dziele Nowickiej nie do rozdzielenia. Jest w tym prawda, uchwytna istotę bycia człowiekiem – człowiekiem z dziecka wyrosniętym, i tym dzieckiem zawsze będącym. Nowicka mówi, że jej bohaterka nie ma twarzy. W tym dziecku pobrzmiewa przecież kobieta – a może stoi ona obok, rejestrując wszystko kamerą, niczym uważny operator kamery?

Książka Nowickiej zaskoczyła mnie formą, treścią, jakością. To proza pełna poezji, myśl kipiąca obrazami. Jej ducha nie oddały wiernie recenzje, na które wcześniej trafiłam. Nie zachęciły mnie, ale wręcz przeciwnie – dziwiły i budziły obawy. A to pewnie dlatego, że ta książka może mówić tylko sama za siebie. Każdy jej opis, nawet najbardziej pozytywny, będzie jedynie jakimś tłumaczeniem, w którym traci się za dużo; opinią, która pozostaje tylko odbiciem w kawałku lustra, spłaszczeniem warstw znaczeń.

„Nakarmić kamień” jednych trafi prosto w serce, a u innych może trafić w kamień, choć w to, że trafi, głęboko wierzę. Książka może się nie podobać, ale jest bezsprzecznie piękna. Piękna myślami i obrazami, po reżysersku pełna pięknych ujęć. To książka na jeden wieczór, ale i na całe życie. Jak dziecko kamienie, odkryje się w niej pewnie nieraz kolejne skarby – zwyczajne, a jednak wyjątkowe. Możemy się nimi karmić. Dla dobra ludzi, zwierząt, roślin i kamieni.

KATARZYNA TABAKA

Bronka Nowicka,  
„Nakarmić kamień”  
Wydawnictwo: Biuro Literackie  
Data wydania: 29 czerwca 2015 r.  
Kategoria: proza poetycka  
ISBN: 9788365125026  
Liczba stron: 56



Bohaterowie „**Naszej klasy: historii w XIV lekcjach**” definiowani są przez pierwotną grupę współzależności przez ich całe, ujęte w poemacie, życia. **TADEUSZ SŁOBODZIANEK** przeplata historie bohaterów i naprzemiennie rozkłada między nich ciężar winy, nie odejmując jednak tragicznym wydarzeniom ich wagi i niewypowiedzianego zła

30

I ja  
jestem stamtąd

„**NASZA KLASA: HISTORIA W XIV LEKCJACH**” pierwszy raz wpadła mi w ręce kilka lat temu, zadana na studia podyplomowe. Nie poświęciłam jej wtedy wystarczającej uwagi, czytając w pośpiechu kilka pierwszych stron.

Tym razem sytuacja miała się inaczej. Pracując w krakowskim muzeum – **Fabryce Schindlera** – każdego dnia przeżywam historię niemieckiej okupacji w Krakowie. Rok temu odkryłam także, że Jedwabne, które dotychczas zdawało mi się odległe, mieści się zaledwie 100 km od rodzinnych stron, które zwykłam odwiedzać. **Jedwabne? To Jedwabne?** Nieważne, czy z niemieckiej inspiracji, czy przez poniemiecki lud, ja też jestem stamtąd. Wszyscy jesteśmy...



„Nasza klasa: historia w XIV lekcjach” jest nawiązaniem do pogromu w Jedwabnem. Sztuka rozpisana na szesnaście lekcji śledzi losy dziesięciu osób, Żydów i Polaków, od bijatyk między szkolnymi ławkami po ich dorosłe życie lub śmierć.

Jakie to lekcje? Czego uczą?

Tekst nie interpretuje, nie podaje odpowiedzi, lecz pozostawia nas niejako współuczestnikami dramatu czy współuczniami. Odpowiedzi na pytanie: dlaczego?, należy szukać w sobie. W każdym z nas jest zalążek zła, często towarzyszy nawet najlepszym intencjom. Dlatego tak ważny pozostaje ten dramat – jako pytanie nakłaniające do studium siebie, nas, tu i teraz, nie do dumania nad przeszłymi okropnościami historii. Do przeczytania, odegrania, przemyślenia.

Tytułowa klasa to typowo polska wspólnota, każdy z nas może się w niej przejrzeć. Sztuka ta stawia jednak czytelnika przed dylematem interpretacyjnym: Czy autor skonstruował swoje postacie stereotypowo, czy też te stereotypy funkcjonujące w naszym rozumieniu świata umyślnie prześmiewa i obnaża, nakłaniając nas do dodatkowej refleksji?

Bohaterstwo Zochy, podobnie jak i Władka, motywowane jest uczuciami, jeśli nie chucią. Jakub i Menachem, dwoje Żydów tego poematu, w jakiś sposób zdają się „zasługiwać” na prześladowanie, które ich spotkało ze strony Polaków – Jakub zaangażowaniem w socjalizm i organizacją kina w kościele, Menachem zaś okazuje się niewierny oraz mściwy. Gwałt Dory staje się największą przyjemnością, jakiej zaznała. Abram Piekarz, emigrant do USA, jest oderwany od polskich realiów, a ksiądz, nie dość, że hipokryta, to jeszcze ma ponoć „słabość do rumianych ministrantów”.

Bohaterowie „Naszej klasy: historii w XIV lekcjach” definiowani są przez pierwotną grupę współzależności przez ich całe, ujęte w poemacie, życia. Słobodzianek przeplata historie bohaterów i naprzemiennie rozkłada między nich ciężar winy, nie odejmując jednak tragicznym wydarzeniom ich wagi i niewypowiedzianego zła.

Choć w tej sztuce kaci budzą współczucie, a bohaterzy są jacyś niebohaterzy, to jednak okazuje się, że

nie trzeba ekstremalnych ani białocząrných postaci, by uwidocznic tragizm ludzkiego losu. Ujęcie nieludzkich czynów tak prosto i zwyczajnie, często słowami ich wykonawców, pomiędzy ich prozaicznymi uwagami, uderza prosto w twarz i pozostawia czytelnika z niemożliwym do przełknięcia obrazem absurdu i banalności zła.

Parafrazując słowa Talmudu: „Kto niszczy jedno życie, to tak, jak gdyby niszczył cały świat”, zapytajmy: Ile światów zniszczono w Jedwabnem?

Sztuka, za pomocą końcowej wyliczanki Abrama Bakera, pozwala nam się nad tym zastanowić. Pozostawia także czytelników ze wskazówką: spójrzmy w gwiazdy – czeka tam na nas moralny kompas.

Owa wskazówka pozostaje w kontrze do wcześniejszej uwagi Marianny, decydującej się bronić oprawców, do Menachema: „A Kanta o gwiazdach pamiętasz?”.

Z historii wiemy, że na imperatyw kategoriyczny Kanta powoływał się też sądzony w Jerozolimie Eichmann, odpowiedzialny za czasowe i efektywne transporty Żydów do Auschwitz. Dramat swoją treścią zdaje się wątpić w słuszność słynnej kantowskiej reguły: „Niebo gwiazdziste nade mną, prawo moralne we mnie”. Zamiast tego mówi nam: „Jedna tylko jest gwiazda [...] nieruchoma i stała”.

Nie zbłądzimy, gdy wszyscy będziemy trzymać się wyznaczonych przez nią kierunków.

KATARZYNA TABAKA

Tadeusz Słobodzianek  
„Nasza klasa: historia w XIV lekcjach”  
Wydawnictwo: słowo/obraz/terytoria  
Data wydania: 2009.  
ISBN: 9788374539562  
Liczba stron: 108  
Seria: dramaty do czytania





Jeszcze więcej efektów specjalnych, więcej szybkich samochodów, wyścigów i niebezpiecznych akcji.

Po obejrzeniu poprzedniej części filmu „**SZYBCY I WŚCIEKLI**” wydawało się to niemożliwe? Nic bardziej mylnego. W 8. odsłonie filmu niemal wszystko było możliwe!



32

# Przewidywalna klasyka gatunku

Seria „**SZYBCY I WŚCIEKLI**” to dla wielu miłośników kina już niemal klasyka. Fenomenalne kwoty, jakie na każdej części zarabiają twórcy tej produkcji, powodują, że końca niezwykłych, wręcz nierealnych przygód Dominica Toretta nie widać.

Aby zaspokoić coraz bardziej wygórowane oczekiwania widzów w kwestii zaskakujących efektów specjalnych, autorzy filmu przekraczają pierwotne założenia.

Fani serii zapewne pamiętają pierwsze jej części. Wówczas chodziło o historię kilku osób biorących udział w niebezpiecznych wyścigach ulicznych. I mimo że wątki były wtedy niebezpieczne i budzące adrenalinę u widzów, zawierały elementy realności.

Zupełnie inaczej przedstawia się sytuacja ósmej części „Szybkich i wściekłych”. Akcja filmu została odrealniona do tego stopnia, że z pewnością nikt nie potraktuje poważnie przygód bohaterów.

W najnowszej produkcji filmowej reżyser **F. GARY GRAY** zabiera widzów na słoneczną i egzotyczną Kubę, gdzie rozgrywa się akcja. Dominic Toretto (w tej roli Vin Diesel) wiecie spokojne życie z ukochaną. Monotonność tego życia powoduje, że początek filmu staje się na tyle nudny, iż chwilami trudno to wytrzymać (zapewne niejeden widz zastanawiał się wtedy, czy lepszym rozwiązaniem nie będzie opuszczenie sali kinowej...).

Jednak uporządkowany świat, jaki chwilowo go otacza, niebawem zniknie za sprawą tajemniczej kobiety, która przekona głównego bohatera do podjęcia przygotowań do wielkiego ataku terrorystycznego, chociaż koledzy podejmują próbę go powstrzymać przed tragicznymi czynami.

Czy uda im się stanąć na drodze Dominica?

Wiele obaw budził także fakt, że w ósmej części „Szybkich i wściekłych” zabrakło kultowego i znanego wszystkim stałym widzom Paula Walkera. Głową widzów zaprzątało pytanie, jak twórcy filmu wypełnią lukę po tak istotnej postaci.

Na szczęście obeszło się bez rozczarowania!

Następców Paula Walkera jest aż dwóch. Mowa tutaj o niezwykle dućcie, jaki tworzą Hobbs (w tej roli Dwayne Johnson) i Deckard (odgrywany przez Jasona Stathama). Specyficzne poczucie humoru obu bohaterów, ich wzajemne docinki względem siebie, stosunek do rzeczywistości oraz wspólne perypetie – wprowadzają do filmu humorystyczne zabarwienie. Niemal każda scena, w której nowi bohaterowie pojawią się jednocześnie, w niezwykle i naturalny sposób bawi widza.

Żadna z części „Szybkich i wściekłych” nie wyróżniała się na tle pozostałych wybitną fabułą. Również ósma

odstłona filmu nie wniosła nic nowego. Mamy tutaj do czynienia z jasnymi, klarownymi sytuacjami, niepozostawiającymi większego niedosytu.

Film jest dość przewidywalny. Większe wrażenie budzi jedynie walka w więzieniu. To jedyna scena, którą może w całości wciągnąć widza i spowodować, że chwilowo zapomni on o otaczającym go świecie.

Należy jednak zaznaczyć, że dla fanów kina akcji to pozycja obowiązkowa w rozpisce repertuaru kin. Klasyka gatunku. Mimo że tym razem film również nie zaskoczył (trudno go nazwać dziełem z przesłaniem...), należy do tych, które warto zobaczyć. Chociażby po to, by wiedzieć, co się obecnie dzieje w świecie kina. I żeby oderwać się na chwilę od otaczającej nas rzeczywistości.

MAGDALENA ŁUKASIK

„Szybcy i wściekli” 8

Reżyseria: F. Gary Gray

Scenariusz: Chris Morgan

Obsada: Vin Diesel, Jason Statham, Dwayne Johnson, Michelle Rodriguez,

Tyrese Gibson, Ludacris, Charlize Theron, Kurt Russell

Gatunek: akcja

Produkcja: Francja, Japonia, Kanada, USA, Wielka Brytania, Samoa

Premiera: 21 kwietnia 2017 (Polska), 4 kwietnia 2017 (świat)



Każdy, kto obejrzy włoski film **„Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”**, nie pożałuje, dowie się bowiem czegoś istotnego nie tylko na temat głównych bohaterów, ale i własnego życia

# Komedia przeplatana ludzkim dramatem

**Ludzie mają swe tajemnice, o których nie wiedzą nawet najbliżsi. Na co dzień nie do końca zdajemy sobie z tego sprawę, ale to prawda, że człowiek wie trzy życia: publiczne, prywatne i sekretne.**

34

Publiczne dotyczy pracy zawodowej, różnych miejsc i osób. Prywatne skupia się głównie na rodzinie i znajomych. W życiu sekretnym zaś człowiek bywa odosobniony, tkwi w nim samotnie.

Sekrety często przejmują kontrolę nad naszym życiem i nie jesteśmy w stanie od nich uciec. Jednak gdy przez przypadek wyjdą na jaw, mogą całkowicie zmienić jego bieg. W dzisiejszym świecie wiele relacji zbudowanych bywa właśnie na kłamstwie. Sytuację tę dokładnie obrazuje film włoskiej produkcji **„Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”** (*„Perfetti sconosciuti”*) w reżyserii **PAOLA GENOVESEGO**.

Opowieść rozpoczyna się w chwili, gdy siedmioro przyjaciół spotyka się na wspólnej kolacji u Ewy i Rocca. Na początku wszystko wydaje się w najlepszym porządku, spotkanie przebiega w miłej atmosferze, bohaterowie rozmawiają, żartują, przekomarzają się. Myślą, że wiedzą o sobie wszystko.

Sprawy komplikują się w chwili, gdy organizatorka spotkania Eva proponuje ryzykowną grę, która polega na ujawnianiu treści wszystkich wiadomości SMS i rozmów telefonicznych przeprowadzanych wyłącznie z wykorzystaniem trybu głośnomówiącego.

Wydaje się to tylko niewinną zabawą, tymczasem w trakcie rozwoju i przebiegu akcji okazuje się, że może ona znacznie skomplikować życie każdego z bohaterów. Od tej chwili z każdą odebraną wiadomością jest tylko gorzej. Sytuacja coraz bardziej się zaostrza, a na jaw wychodzą nowe kłamstwa. Po tej pamiętnej kolacji każdy z jej

uczestników dochodzi do wniosku, że już nic nie będzie tak jak dawniej.

Film **„Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”** nie jest typową komedią. Tutaj żart przeplata się z dramatem. Oglądamy wiele wesołych scen przepełnionych humorem i swoistym luzem, ale nie brakuje i tych o gorzkiej wymowie, które niejednokrotnie skłaniają widza do refleksji.

Akcja składa się wyłącznie z rozmów przy stole, co może być nużące dla widza (film trwa 90 minut). Toczy się ona w jednym miejscu (w mieszkaniu Ewy i Rocca). Wyjątkiem jest scena kręcona na balkonie owego domostwa. Być może to celowy zabieg twórców filmu, by w ten sposób umożliwić odbiorcy dogłębną analizę emocji, słów i zachowań głównych bohaterów.

Widz wydaje się „zostawiony” sam sobie, z licznymi pytaniami, które nasuwają się po obejrzeniu całości, m.in:

- „Czy pomysł Ewy był trafiony, czy może lepiej by było dla każdego, gdyby to zdarzenie wcale nie miało miejsca?”;
- „Czy lepiej wiedzieć mniej na temat drugiej osoby i wieść szczęśliwe życie, oparte często na skrywanych tajemnicach, albo może korzystniej jest zmagać się z różnymi problemami, ale za to znać prawdę?”.

Cała akcja nagle się urywa. To, jak potoczyły się dalsze losy postaci, nie zostało jasno przedstawione, co może powodować, że widz czuje się nieco zagubiony w problematyce i przesłaniu, jakie za sobą niesie ta komedia. Do końca nie wiadomo, jak to spotkanie się zakończyło.

Twórcy w ukryty sposób pokazali, że w zasadzie do całości pasują co najmniej trzy zakończenia. To widz musi sam dopowiedzieć sobie część końcową.

Na szczególną uwagę zasługuje niewątpliwie gra aktorska. Aktorzy odegrali swoje role w mistrzowski sposób. Na ekranie zagościli: Maco Giallini, Alba Rohrwacher, Valerio Mastandrea, Edoardo Leo, Anna Foglietta, Giuseppe Bat-





tiston, Benedetta Porcaroli, Tommaso Tatafiore, Noemi Pagotto, Elisabetta De Palo oraz polska aktorka – Katarzyna Smutniak.

Całość dopełnia dobrze dobrana muzyka, która w radosnych chwilach rozluźnia atmosferę filmu, a w scenach prezentujących poważne sytuacje buduje napięcie.

W znacznym stopniu to właśnie dzięki muzyce widz nie ustaje w przysłuchiwaniu się rozmowom bohaterów, bo tylko poprzez nie może poznać całą prawdę o ich życiu.

Muzyka przełamuje monotonię, która mogłaby się wdać w odbiór przekazu.

O niezwyklej artyzmie tej produkcji świadczą nagrody na festiwalu Tribeca i wyróżnienia David di Donatello, które twórcy filmu zdobyli w różnych kategoriach. Nad produkcją bowiem pracował sztab wybitnych specjalistów. Sam scenariusz przygotowywało aż pięciu scenarzystów: Paolo Genovese, Filippo Bologna, Paolo Costella, Paola Mammini, Rolando Ravello. Za zdjęcia odpowiedzialny był Fabrizio Lucci, a muzykę skomponował Maurizio Filardo.

Włoska komedia „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie” jest filmem do śmiechu i do płaczu. Każdy, kto choć raz miał okazję obejrzeć tę wspaniałą produkcję, na pewno był w stanie wyciągnąć z niej wnioski. Reżyser w subtelny, często zabawny, sposób przemycza w nim istotne prawdy o życiu.

Obok tego filmu z całą pewnością nie można przejść obojętnie. Ogląda się go z zapartym tchem, niekiedy drżąc o losy bohaterów i ciągle zastanawiając się, co jeszcze nowego może wyniknąć z rozmowy przyjaciół.

Dodatkowym atutem wydaje się jego ponadczasowość i uniwersalizm, zarówno pod względem poruszanych problemów, jak i grona odbiorców. Skrywanie tajemnic nie zależy bowiem od wieku i dotyczy zarówno starszych, jak i młodszych.

Każdy, kto obejrzy ów film, nie pożałuje, dowie się bowiem czegoś istotnego nie tylko na temat głównych bohaterów, ale i... własnego życia.

EWELINA MADEJ

„Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie”  
(oryg. „Perfetti sconosciuti”).

Reżyseria: Paolo Genovese

Gatunek: dramat, komedia.

Produkcja: włoska

Scenariusz: Paolo Genovese, Filippo Bologna, Paolo Costella, Paola Mammini, Rolando Ravello.

Zdjęcia: Fabrizio Lucci

Muzyka: Maurizio Filardo.

Obsada: Maco Giallini, Alba Rohrwacher, Valerio Mastandrea, Edoardo Leo, Anna Foglietta, Giuseppe Battiston, Benedetta Porcaroli, Tommaso Tatafiore, Noemi Pagotto, Elisabetta De Palo, Katarzyna Smutniak

Premiera: 6 stycznia 2017 r. (Polska), 11 lutego 2016 r. (świat)

W 2016 r. orkiestra **WIENER PHILHARMONIKER** po raz dwunasty zagrała na świeżym powietrzu z okazji Koncertu Nocy Letniej w ogrodzie pałacu Schönbrunn

# Uczta dla MELOMANA

w podkoszulku i trampkach

Korespondencja z Wiednia

**Czy na koncert filharmoniczny można się wybrać w podkoszulku i trampkach? Okazuje się, że tak! Wszystko za sprawą Koncertów Nocy Letniej.**

26 maja ub. r. w Wiedniu miała miejsce jedna z niewielu okazji, aby całkowicie bezpłatnie, a w dodatku w tak nietypowej atmosferze, usłyszeć wspaniałą orkiestrę **WIENER PHILHARMONIKER**.

Oczekujący na koncert zajęli wygodne miejsca w zaciszu pałacowego ogrodu. Rodziny z dziećmi rozłożyły koce, a osoby starsze przyniosły rozkładane stołeczki. Kiedy rozbrzmiały pierwsze dźwięki „Farandole” Georges’a Bizeta, zapadła kompletna cisza. Nawet najmłodszy słuchacz siedzieli w niemym skupieniu. Wspaniałej muzyce towarzyszyła również niesamowita gra świateł. Nic dziwnego, że pałacowy teren został wypełniony po brzegi.

Po raz pierwszy z orkiestrą Filharmoników Wiedeńskich wystąpił gościnnie **SEMYON BYCHKOV**, najlepszy dyrygent roku 2015, laureat International Opera Awards. W roli solistek na scenie pojawił się słynny duet francuskich siostr **Katii i Marielle Labéque** (drugiej żony Bychkova).

Koncert na dwa fortepiany i orkiestrę d-moll Francisca Poulenca stał się okazją do tego, by siostry Labéque zaprezentowały cały kunszt i wirtuozerię. Ogromne doświadcze-

nie i perfekcyjne zgranie pozwoliły pianistkom na wprowadzenie do utworów nutki ekstrawagancji i interpretacyjnego indywidualizmu. Zmiany nastroju w dziele Poulenca ukazały odmienne charaktery obydwu siostr: Katia była ekspansywna, Marielle miała więcej ciepła, miękkości.

Kolejnym utworem było zawsze popularne „Bolero” Maurice’a Ravela, o którym sam kompozytor wypowiadał się w sarkastyczny sposób, odnosząc się do zachwycającej rytmiczności swojego dzieła: „Stworzyłem tylko jedno arcydzieło. Niestety, nie ma w nim muzyki”.

Filharmonicy Wiedeńscy akompaniowali ze smakiem, pozwalając zaistnieć duetowi, a jednocześnie nie kryjąc się w jego cieniu. Znowu było przyjemnie słuchać, jak bardzo pianistki są czujne na wzajemne inspiracje i dźwiękowe zaczepki.

Tak wspaniały pokaz muzycznych umiejętności na najwyższym poziomie zakończył podwójny bis. Na prośbę publiczności orkiestra wykonała *Piekielny galop* z operetki *Orfeusz w piekle* Jakuba Offenbacha oraz walc Johanna Straussa II *Wiedeńska krew*.

Całe wydarzenie muzyczne od początku do końca było świetnie zorganizowane. Pomocy udzieliła również austriacka policja, która zapewniła płynny przepływ ruchu ulicznego, ale także dbała o bezpieczeństwo uczestników koncertu.

Koncerty Nocy Letniej udowadniają, że występy filharmoniczne nie muszą być rozrywką wyłącznie dla sfer wyższych. To wspaniała inicjatywa, pozwalająca każdemu na zetknięcie się ze sztuką wysoką, a także niesamowite przeżycie dla każdego widza.

MAGDALENA KOŚLA

Fot. Umberto Nicoletti



Koncert Nocy Letniej Wiener Philharmoniker 2016  
Park Pałacu Schönbrunn, 26.5.2016 r., godz. 20:30  
Dyrygent: Semyon Bychkov  
Solistki: Katia i Marielle Labéque

Wbrew temu, co **PIOTR BAŁTROCZYK** zapowiadał na scenie, że pora kończyć karierę kabaretową, wydaje mi się, że absolutnie nie powinien tego robić. Od tego niebanalnego artysty wciąż bije na scenie energia, świeżość i entuzjazm. To czuć i widać. Scena to nadal jego żywioł

RECENZJE

# MEŹCZYŻNA

wcale nie z kijowym peselem

**Pod koniec kwietnia br. w krakowskim teatrze „Varieté” odbył się występ PIOTRA BAŁTROCZYKA pt. „Mężczyzna z kijowym peselem”. Artysta przywitał się z publicznością legendarnym powiedzeniem: „Witam Państwa w tej klimatyzowanej sali!”, nawiązując do nie najlepszych warunków panujących w przeszłości podczas jego występów w „Rotundzie”.**

Zaczął od opowiedzenia anegdotek o Krakowie, Katowicach i Rzeszowie, z którymi był związany, a których wciąż się boi (bardziej Rzeszowa niż Krakowa i Katowic). Tym sposobem publiczność zgromadzona w teatrze dowiedziała się, że swego czasu festiwal pieśni w Rzeszowie trwał dzięki niemu tydzień, że artysta był w latach 80. kierownikiem klubu „Pod Jaszczurami” oraz że miał jedną przygodę z hejnalistą.

Przy okazji Piotr Bałtroczyk rozwiązał zagadkę lekarskich drewniaków, to znaczy tego, dlaczego właśnie taki rodzaj obuwia zmiennego noszą w szpitalach lekarze. Odpowiedź okazała się bardzo prozaiczna: „Żeby pacjent, kurwa, czuł...”.

Podczas występu gościa nie zabrakło również jakże trafnych opowieści na temat dworców autobusowych i kolejowych w Polsce.

Spontanicznie Piotr Bałtroczyk zareagował na spóźnialskich. Jakaś para długo schodziła pod samą scenę, więc artysta, widząc to, powiedział: „Przepraszam, że musiałem zacząć. Ale trochę ludzi przyszło przed wami wcześniej...”. Innych, jeszcze bardziej spóźnionych, zapytał wprost: „Skąd państwo przyjechali?”. A kiedy usłyszał, że „Z Krakowa”, dodał: „A ja z Olsztyna i zdążyłem na czas...”. Sala zareagowała oklaskami!

Jak zwykle nie zabrakło opowieści o Zdzisławie Habilitowanym, o przygodzie podczas Festiwalu Piosenek Serialowych w Opolu czy o przygodach z policją.

Znanym elementem zabawy Piotra Bałtroczyka z publicznością jest pytanie o imię kobiety. Ni stąd, ni zowąd zagaduje:

- *Pani w pierwszym rzędzie, jak pani ma na imię?*
- *Aneta* – pada odpowiedź.

– *No trudno...* – ripostuje Bałtroczyk. Słyszane siódmy raz, już tak nie śmiesz, ale inni śmieją się wniebogłosy.

Przez cały występ Piotra Bałtroczyka zastanawiałam się, dlaczego tak go uwielbiam. I doszłam do wniosku, że dlatego, iż po prostu mamy podobne poczucie humoru. To, w jaki sposób snuje on na scenie te swoje opowieści, jakie emocje temu towarzyszą, jaką kabareciarz ma ekspresję, jest mi niezwykle bliskie. Nawet bardzo bliskie.

Zawsze zastanawiał mnie to, na ile opowieści Bałtroczyka są realne i naprawdę wydarzyły się w jego życiu, a na ile ponosi go fantazja... I powiem szczerze: ciągle nie zgłębiłam tej tajemnicy. Niektórych w dalszym ciągu nie



mogę rozszyfrować, ale utwierdzam się w przekonaniu, że na pewno nie jest mężczyzną z kijowym peselem.

I wbrew temu, co Piotr Bałtroczyk zapowiadał na scenie, że pora kończyć karierę kabaretową, wydaje mi się, że absolutnie nie powinien tego robić. Od tego niebanalnego artysty wciąż bije na scenie energia, świeżość i entuzjazm. To czuć i widać. Scena to nadal jego żywioł. Smutno by było nie móc już usłyszeć opowieści człowieka z Olsztyna na żywo.

ANETA TABISZEWSKA

Piotr Bałtroczyk  
„Mężczyzna z kijowym peselem”  
Teatr „Varieté”  
Kraków, ul. Grzegórzecka 71  
Występ odbył się 23 kwietnia 2017 r.





# Kolejki?

*Nie, dziękuję...*

**Znajomy Brytyjczyk mieszkający w Polsce żartuje, że Polacy grzecznie ustawiają się w kolejce tylko wtedy, gdy kupują lody. Gdyby tak połączyć działalność administracyjną polskich urzędów z gastronomiczną, można by skutecznie zmienić społeczne zwyczaje i sprawić, że Polacy, w obywatelskiej inicjatywie, zaczęliby strzec porządku kolejek.**

Dla Brytyjczyków kolejka i towarzysząca jej uprzejmość pozostaje rzeczą świętą. Obcokrajowca odwiedzającego Anglię dziwiłaby tubylcy ustawieni na przystankach w długie kolejki, szerokie dokładnie na jedną osobę, ciągnące się przez pół ulicy. Tak Brytyjczycy czekają na autobus, każdy na swoją kolej, zgodnie z kolejnością przyjsia.

Podobnie sprawa wygląda w sklepach i przy społecznych wydarzeniach – nie ma tu mowy o wypychaniu się poza swoją kolej. To nie tylko powody ekonomiczne, ale właśnie brak poszanowania dla niepisanych reguł porządku społecznego ze strony obcokrajowców wzbudził głęboki niepokój rodowitych Brytyjczyków, prowadzący do Brexitu.

W języku polskim brakuje czasownika opisującego ową aktywność (czy raczej – pasywność), jakim posługują się angielskojęzyczni (tj. *to queue*). Stanie w kolejce, ustawianie się w kolejce czy czekanie w niej – już sam język pokazuje, że kolejkom towarzyszą negatywne konotacje i nie sposób mówić o nich w inny sposób.

Kolejka nie jest jednak dla Polaków tematem obcym. Można nawet powiedzieć, że doświadczenie wielogodzinnego stania w kolejkach okazało się dla nas tożsamościowe i kulturotwórcze. Szwankuje u nas jednak sama sztuka ustawiania się w kolejce. Przeważają roszczenia do pierwszeństwa, przepychanie się lub szczególnego rodzaju choreografia, w której rozstawieni po wszelkich kątach „kolejkowicze” naraz rzucają się do drzwi w sekwencji „kto pierwszy, ten lepszy”.

Amerykański filozof Michael Sandel widzi w kolejkach szczególne znaczenie społeczne: to, że niektóre dobra rozdzielamy nie za pomocą wolnorynkowych mechanizmów (a więc zasobności portfela), lecz chęci ich „wyczekania” oraz osobistego poświęcenia, oznacza, że mają one odmienną, niespieniężalną wartość. Spieniężenie by ową wartość zniszczyło.



To, że na każdego przyjdzie kolej, jest czynnikiem zapewniającym równość wszystkich uczestników, bez względu na zasoby finansowe. Gdy sprawiedliwy rozdział dóbr poprzez „wystanie” ich w kolejce zaburzą wolnorynkowe mechanizmy oparte na popycie i podaży, równość wszystkich członków społeczeństwa staje się iluzją.

Przy premierach wyczekiwanych produktów czy darmowych wydarzeniach szybko jednak okazuje się, że czas to pieniądz, a stanie w kolejce staje się intratnym interesem. Profesjonalni „kolejkowicze” inkasują nawet 60 dolarów za godzinę.

Jeśli kolejki są drogą zapewnienia równego dostępu do dóbr dla wszystkich członków społeczeństwa, a nie możliwości finansowe, to te PRL-owskie zyskują wymiar etyczny.

Trudno będzie jednak przekonać tych, którzy widzieli puste sklepowe półki, do tego, że za kolejkami za komuny kryły się górnolotne ideały. I choć na kolejkach powinniśmy się znać jak nikt inny, mamy chyba ich zwyczajnie dość, i w wyrazie sarmackiego buntu wolimy brać sprawy w swoje ręce, zamiast poddawać się odgórnym regułom społecznym.

Na kolejki jest jeszcze jedna, użyteczna rada. Już sam fakt, że kolejka została sformowana, zdaje się krzyczeć, iż na jej końcu znajduje się coś wartego czekania. A jak mawiał Forrest Gump: „Jeśli widzisz kolejkę, stań w niej. Co ci szkodzi?”.

KATARZYNA TABAKA





## kabaretową

# Jak zostać GWIAZDĄ

40

**Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj... Może dlatego, że właśnie niedawno moja koleżanka fotograf przywołała tę historię. Przy okazji natchnęła mnie, bym spisała to na papierze. Tak więc piszę. Dla Was, moich wiernych fanów, stałych fanów i przyszłych fanów. Po prostu dla potomnych!**

16 kwietnia 2016 roku na zawsze wpisze się w mój (i myślę, że Wasz również) kalendarz, a przede wszystkim pamięć. Wtedy to zdarzyło się to, czego nikt się nie spodziewał, nawet ja... Odbывała się wtedy 32. EDF PAKA, czyli Przegląd Kabaretów Amatorskich. Po raz trzeci uczestniczyłam w niej jako wolontariuszka. Leżałam sobie wygodnie na poduszkach, z moimi kompanami (teraz już fanami) w dolnej sali w legendarnej klimatyzowanej „Rotundzie”, aż tu nagle telefon: „Pilnie potrzebuję kogoś do zamiatania sceny!” – brzmiał w słuchawce głos producenta Igora.

Niewiele myśląc i długo się nie zastanawiając, stwierdziłam twardo: „Idę!”. W głębi duszy czułam jednak strach, a przez głowę przewijały mi się myśli: „Czy aby na pewno podołam temu trudnemu wyzwaniu? Czy wielka scena mnie nie pochłonie? Czy da się szybko pozamiatać? Czy konferansjer będzie litościwy? A jak zareagują ludzie?”.

Gdy stanęłam za zastawką, ona już na mnie czekała, zwarta i gotowa do działania (też się bała, później mi to wyznała). Wówczas żadna z nas nie pomyślała, że połączy nas coś tak nagłego i wyjątkowego. Nadszedł ten moment, chwyciłam moją towarzyszkę i wyszłyśmy na scenę, blask fleszy nas oślepił. Scena była tak brudna, że nie wiedziałam, od czego zacząć, więc zaczęłam od początku, jak to zwykle bywa.

Pierwsze minuty na scenie nie były takie strasznie, jak podejrzewałam, byłam niewidzialna dla publiczności i konferansjera, robiłam swoją robotę, jakby nikogo nie było

wokół. Pomyślałam: „Jest dobrze, przetrwałam pierwszą minutę, już nic się nie wydarzy”. Jednak miotła nie była tego samego zdania. Tak się bidulka zestresowała, gdy zobaczyła publiczność, że nagle odmówiła współpracy i przestała zmiatać. Szepnęłam jej szybko: „Miotło, wiem, że się za dobrze nie znamy, ty mnie widzisz pierwszy raz, ja ciebie też, nie miałyśmy okazji porozmawiać i się bliżej poznać, ale dostałyśmy wspólne zadanie i siedzimy w tym razem, więc nie rób mi tego!” Niestety, moja szybka mowa motywacyjna nie podziałała...

I właśnie wtedy konferansjer zwrócił na nas uwagę. Gdy podchodził z mikrofonem, miotła była w krytycznym stanie, włos jej zeszytniał, kij się napiął, wyszeptała tylko: „Nie dam rady” i opadła bez sił. Cała uwaga zeszyła zatem na mnie. Konferansjer podchodził ze słowami: „Wiecie państwo, ja sobie z wami rozmawiam, a tu pani sprząta, jest mi tak głupio, że ja nic nie robię, więc jak ma pani na imię?”.

I to jest właśnie ten moment, z moich ust padają słynne słowa: „No, BEZ PRZESADY!”.

Konferansjer nie potrzebował niczego więcej, zaraz to podchwycił i się zaczęło. Stawa, blichtr, śmiech, brawa, zdjęcia i autografy.

Zastanawiacie się, czemu powiedziałam akurat te dwa słowa? Wiem, że się zastanawiacie, wiele osób po moim występie mnie o to pytało. Już tłumaczę: po prostu to były słowa do miotły, w reakcji na jej omdlenie.

To jednak nie koniec. Scena nie została w pełni pozamiatana. Czekало mnie drugie wyjście. Odstawiłam miotłę w kąt, żeby trochę odpoczęła, i poszłam po jej siostrę. Wychoząc drugi raz i słysząc te brawa oraz śmiechy, wiedziałam, że to jest to! Że to moje przeznaczenie! Skrywany, podejrzewam od zawsze, gen gwiazdy drzemał we mnie i tego dnia postanowił wyrwać się na światło dzienne.

I oto jestem! Wasza jedyna w swoim rodzaju Gwiazda „Bez Przesady”!

Kończąc powyższe wspomnienie, muszę powiedzieć: był to najwspanialszy dzień w życiu, nie tylko w moim życiu, ale również i moich fanów! W końcu mają gwiazdę na poziomie do uwielbiania.

ANETA TABISZEWSKA

Fot. Archiwum autorki



# SESJA,

nie ma na to rady...

**Właściciele sklepów zlokalizowanych w okolicach miasteczek studenckich całej Polski nie zdążyli jeszcze uzupełnić braków magazynowych po juwenaliach i drastycznym odpływie alkoholu (połączonym z wprost proporcjonalnym przyływem gotówki), a już jak grom z jasnego nieba spadła na nich wiadomość od dystrybutorów proszków do prania, płynów do mycia okien, past do podłóg oraz innych środków czystości, że zapasy przeznaczone na najbliższe miesiące właśnie się skończyły.**

Powód? Sesja.

Studenci zrzeszeni w facebookowych grupach wsparcia dla osób, które nie wiedzą, jak zagospodarować nadmiar wolnego czasu, prześcigają się w pomysłach na rozwiązanie tej drastycznej sytuacji. Niektórzy publikują nawet niezwykle intymne wyznania.

Anna K., studentka „przyszłościowego kierunku”, po którym „i tak nie dostanie pracy, więc po co się męczyć”, pisze:

*„Zainspirowana serią memów «W czasie sesji umyj okna dla Chrystusa», postanowiłam zakasać rękawy i wziąć się do pracy! Kiedy po raz dziewiąty półokrągłymi ruchami delikatnie przecierałam szyby jedyne okna znajdującego się w moim pokoju, doznałam objawienia. W przebłyskach promieni słońca, które nareszcie zaczęły się dostawać do wnętrza „»nory», ukazali mi się Jezus Chrystus, Matka Boska i Wszyscy Święci. Wydarzenie to drastycznie zmieniło moją marną egzystencję! Dogłębnie uduchowiona, postanowiłam wesprzeć resztę studentów mieszkających w moim akademiku! W tak trudnym czasie jak sesja nie powinni żyć w brudnych pokojach. Notatki? Egzaminy? To wszystko może poczekać...”*

Tym oto sposobem stare, zniszczone budynki AGH i UP, w których mieszkają studenci, zmieniają się nie do poznania.

Tymczasem na uniwersyteckich korytarzach daje się słyszeć coś na kształt modlitwy: „Starosto, usłysz nas!” Starosto, wysłuchaj nas! Zmiłuj się nad nami, swymi owieczkami, podziel się cennymi notatkami!”. Czyżby w XXI wieku narodził się nowy rodzaj bóstwa, czyli człowieka wiecznie wyszydzanego i pogardzanego, który zawsze wie, kto, z kim, po co i dlaczego, zna odpowiedzi na każde pytanie prowadzących zajęcia, a co najdziwniejsze – robi notatki?

Przełom maja i czerwca to również wzmożony czas pisania oraz obron prac dyplomowych. Najprostszą metodą jest oczywiście „kopiuj, wklej”, *magisterkę miej!*” czy jakoś tak. Każdy szanujący się Profesor Doktor Habilitowany, a zwłaszcza taki, który bierze udział w konferencji naukowej na Uniwersytecie Pedagogicznym i nie boi się powielać stereotypów, nieudolnie wplatając je do swego wystąpienia pod pretekstem „zabawnych przerywników”, wie, że współcześni studenci to zombies, którzy „utracili zdolność samodzielnego myślenia”, czytania ze zrozumieniem, a pisanie jakichkolwiek prac opierają na zasadzie „ctrl+c, ctrl+v”.

*„Nie przenoście nam Biblioteki Narodowej do Krakowa, niech już lepiej pozostanie tam gdzie jest”* – nuci pod nosem pewien student. W końcu wspieranie PKP, MPK, PKS, Polskiego Busa i innych państwowych lub prywatnych i samorządowych spółek kupowaniem nie tak znowu tanich biletów do stolicy też jest wyrazem patriotyzmu. Gdyby się przyznał, że do Warszawy jeździ po to, by korzystać z unikatowych zbiorów Biblioteki Narodowej, to w świetle słów szacownego Profesora Doktora Habilitowanego i tak by mu nikt nie uwierzył. Co najwyżej popatrzone by nań z politowaniem. Teraz przynajmniej ma solidną wymówkę, a działań patriotycznych nikt nie ośmieli się podważać.

Nie od dziś wiadomo, że powielanie stereotypów jest złe, a punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Należy pamiętać, że nie wszyscy studenci pozbawiają się resztek godności podczas alkoholowego uniesienia na juwenaliach, część z nich uczy się regularnie i robi notatki, w wyniku czego sesja im niestraszna, oraz że istnieją osoby piszące swoje prace dyplomowe nader sumiennie.

Nie szata czyni człowieka, nie tytuł naukowy czyni nieumiejącego się zachować publiczne Profesora Doktora Habilitowanego. Choć podobno to drugie do czegoś zobowiązuje.

Wypadałoby powiedzieć, że zapewne zapomniał wół, jak cieliem był, choć i tak za wiele to nie zmieni. Było, minęło. Można co najwyżej liczyć na to, że sprawdzi się stare powiedzenie: „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę”, a oliwa jeszcze będzie sprawiedliwa.

Sesja jak to sesja, nie ma na nią rady. A gdyby się komuś w czerwcu noga powinęła, to czeka na niego zupełnie niestereotypowa kampania wrześniowa...

MARCIN CHUDOBA



# Wiosna

**Wiosna to dla miłośników jeździectwa koniec sezonu halowego, a więc pojedynków na buty, baty, końskie zęby i kopyta, ale także... siarczastych przekleństw rzucanych pod adresem innych użytkowników krytego placu. Osuszone słońcem ujeżdżalnie, upstrzone mleczami pastwiska czy kuszące świeżą zielenią lasy wzywają znużonego trenowaniem w pomieszczeniu właściciela konia, by pierwszy raz w sezonie podążył ze swym wierzchowcem w stronę stojącego na polanie czworoboku.**

42

Niestety, na weekendowy spacer czy przejażdżkę rowerem udają się także ci, którzy przez ostatnie miesiące grzali się w ciepłe rodzinne zapewnianym przez centralne ogrzewanie. Jak na złość spośród leśnych ścieżek wybrali właśnie te prowadzące do stadniny...

Co chwila z lasu wylania się ze świstem kolejny rowerzysta na bzyczącym jak olbrzymi komar jednośladzie. O ile przejazd pierwszych trzech cyklistów nie pozostawia jeszcze trwałych śladów w końskiej psychice, choć stan kopytnego śmiało można uznać za przedzawałowy, o tyle w rajdzie czwartego mistrza kierownicy wierzchowiec dostrzega już chyba rychły koniec świata. Mimo że nigdy nie brał udziału w Grand Prix w ujeżdżeniu, na widok rowerzysty wykonuje półpiruet w galopie, następnie rzuca się do ucieczki, której towarzyszą lotne zmiany nogi co tempo, a potem, zanim całkiem się uspokoi, prezentuje jeszcze zjawiskowy piaff.

Niestety, to nie koniec. Oto na horyzoncie pojawia się grupa spacerowiczów. Na przedzie biegną gotowe do ataku, rozkrzyczane bachory, tuż za nimi nacierają matki z wózkami, z tyłu zaś podąża starszyna dodająca sobie powagi jaskrawymi kijami nordic walking.

*Patrz, konik!* – rozlega się nagle okrzyk dziecka lub rodzica (tego, kto akurat jest bardziej podekscytowany) i cała familia zatrzymuje się przy ujeżdżalni, a jeździec, który właśnie wyjechał na codzienny trening, staje się, chcąc nie chcąc, gwiazdą cyrkowego pokazu.



To już nie ujeżdżenie na poziomie Grand Prix, ale pokaz figur rodem z Hiszpańskiej Szkoły Jazdy. Lewady, kurbety, kapriole! Można by rzec, że właściciel, kupując nieświadomie tak utalentowane zwierzę, ubił interes życia.

Im bardziej wyszukane pozycje, im obszerniejsze ruchy konia, tym większy zachwyt na twarzach przypadkowej gawiedzi, która odwijając kanapki z błyszczącej złowrogo folii, nieświadomie staje się reżyserem oglądanego przedstawienia. Wystarczy jedno pssstrrrrry! i na arenie cyrkowej pojawia się zadzierająca wysoko sztywną szyję żyrafa czy groźnie wypuszczający nozdrzami powietrze byk.

Czary? Nie, to magia zgniatania plastikowej butelki. Oby widz, który dopuścił się tak karygodnego czynu, nie miał na



sobie czerwonego podkoszulka, boby mimowolnie stał się toreadorem na dziejącej się za jego sprawą corridzie. Byłoby to nawet sprawiedliwe, zważywszy na, że to z jego winy grzeczny, uważny i niepłochliwy (tak zapewniał poprzedni właściciel) rumak przerodził się w oszalałego buhaja.

Jeżeli siedzi na nim doświadczony jeździec, który potrafi długo wytrwać w roli ujeżdżacza byka, corrida niebawem się skończy. Widzowie, napatrzwszy się, pójdą do domu, a właściciel – sam już pewnie niewiedzący, o jakie zwierzę chodzi – odbędzie wreszcie upragniony trening. Jeśli jednak nigdy nie wsiadł na mechanicznego byka w wesołym miasteczku, bez odpowiedniego przygotowania ma szansę stworzyć w tej sytuacji nowy sport konny.

Ot, na przykład, skok konia przez jeźdźcę, gdy ten drugi, przegrawszy walkę z grawitacją, wyłoży się pod kopytami tego pierwszego. Przy takim rozwoju akcji za chwilę nastąpi pościg właściciela za rumakiem, zapewne bardziej widowiskowy niż hubertusowa pogoń za lisem.

Kto z gapiów marzy o ujrzeniu na arenie cyrkowej stworzeń nie z tego świata, może odrzucić na bok niezwinęta folię po zjedzonej w trakcie pokazu rodeo kanapce i pozwolić jej z silniejszym podmuchem wiatru odlecieć w kierunku zbliżającego się konia. A nuż wierzchowiec przypomni sobie, że jego kumpel z mitologii kiedyś umiał latać... Oby tylko niesiony na skrzydłach fantazji rumak nie nabił sobie guza na głowie, bo nie będzie spiczasty, kształtny ani tym bardziej brokatowy, ma za to szansę przybrać wiele kolorów tęczy.

Wśród gapiów zawsze znajdzie się kilku wycieczkowiczów mylących właściciela konia z mapą ukazującą ukształtowanie terenu. „Dokąd prowadzi tamta ścieżka?” – pada pytanie. Jeździec nie wie...

Pech chciał, że właśnie przy tej drodze swoje rumaki zaparkowali na popas wspomniani wcześniej Czwerej Cykliści Apokalipsy i na widok porażającego blasku słońca odbijającego się od metalowych ram koń dużo szybciej niż do przodu porusza się na wstecznym. Dlatego jeździec nie wie, dokąd prowadzi ścieżka.

Tak jak wciąż jeszcze się nie dowiedział – odpukać! – co jest za tamtą skarpą, bo choć miewa zapędy WKKW-isty i zdarza mu się skakać przez powalone pnie, jest świadom tego, że na niektóre skoki lepiej nie wybierać się bez spadochronu.

Nie dość, że krzyki, szelesty i błyski, to jeszcze ciągle pytania. Zrezygnowany właściciel konia, tułacz po opowanej przez niejeźdźców stadninie, wjeżdża wreszcie na odgradzoną od bodźców zewnętrznych halę. Postanawia więcej nie opuszczać tej bezpiecznej oazy. Z uśmiechem wita innych dzielących jego los jeźdźców, bo ci, choć czasem chcą występować w roli żywej przeszkody lub klną, wyrażając batem, nie oczekują od jego rumaka, by był czymkolwiek innym niż po prostu zwyczajnym koniem.

MAGDALENA FIBA

Fot. Archiwum autorki



studium  
OZIENNIKARSKIE



Instytut Filologii Polskiej  
Wydział Filologiczny  
Uniwersytet Pedagogiczny  
im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie

ul. Podchorążych 2  
30-084 Kraków  
Gmach Główny, IV piętro, pokój nr 466

tel. 12 662 61 47

e-mail: [studiumd@gmail.com](mailto:studiumd@gmail.com)  
[www.up.krakow.pl/stud\\_dzien](http://www.up.krakow.pl/stud_dzien)